

DYSKUSJA w środowiskach nauczycielskich, a ściślej w kręgach aktywności związkowego cechuje ostatnio wyraźne ożywienie. Nauczyciele i w ogóle pracownicy szkolnictwa pokładają w zbliżającym się Zjeździe ZNP spore nadzieje. Mniej narzekań i utyskiwań, więcej natomiast wniosków i postulatów, poprzedzonych głębszą analizą sytuacji szkoły i nauczyciela w nowej sytuacji spowodowanej reformą programów nauczania.

Najpierw słów kilka o roli zjazdów ZNP. Zjazd, który odbędzie się w dniach 16 — 18 marca będzie XXVII w historii ZNP, a IX w Polsce Ludowej. Zjazdy ZNP rozpatrują nie tylko sprawy zawodowe pracowników szkolnictwa, lecz także — jeśli nie przede wszystkim — problemy polityki oświatowej oraz szeroko pojętej praktyki i wychowania młodego pokolenia. Stąd w dużej mierze ogólnonarodowe znaczenie tych sejmików nauczycielskich. I w tym stwierdzeniu nie ma chyba przesady. Obecny Zjazd jest o tyle ważny, gdyż mówić się będzie nie o zamierzeniach w zakresie odnowy systemu edukacji narodowej, lecz już osiągniętych rezultatach, ściślej zaś dokona się konfrontacji zamierzeń z rzeczywistością.

Wspomniane nadzieje dotyczą wielu spraw. Zaczniemy od zagadnień socjalno-bytowych, choć np. w projekcie uchwały Zjazdu nie te wyeksponowano na plan pierwszy. Odniosłem jednak wrażenie, że sensowne postawienie na porządku dnia problemów bytowych wzbudza zaufanie nauczycieli; wierzą, że szereg żywotnych spraw będzie rozwiązanych. W projekcie uchwały Zjazdu mówi się np. o kontynuowaniu starań w kierunku ustalenia uposażeń nauczycieli i wychowawców na poziomie płac pracowników o podobnych kwalifikacjach zatrudnionych w innych działach gospodarki narodowej.

Sporo postulatów dotyczy respektowania już istniejących przepisów prawnych, które w „Polsce powiatowej” jakże często nie bywają przestrzegane. Przykłady? Wojewódzka Rada Narodowa podjęła swego czasu uchwałę o załatwianiu nauczycieli w placówkach służby zdrowia poza kolejnością. Jest to raczej przywilej dla szkoły niż nauczyciela, bo chodzi przecież o stworzenie warunków do realizacji programów nauczania. Nowe zaś programy — o czym szerzej później — są tak obszerne, że nieodbycie nawet jednej lekcji powoduje lukę, którą ambitny nauczyciel lata nadprogramowymi zajęciami. Uchwała WRN — mówili uczestnicy ostatniego posiedzenia Zarządu Okręgu ZNP — nie jest przestrzegana, m. in. w Leżajsku. Wspominam o tym dlatego, gdyż w ogóle stan zdrowia części nauczycieli budzi niepokój.

Ponownie wypłynęła także kwestia mieszkań. Nauczyciele wiejscy mają prawnie zagwarantowane bezpłatne mieszkania, lecz wielu z nich musi dopłacać, bo w przeciwnym razie nie znajdują dachu nad głową. Coraz częściej słyszy się głosy, że z wynajęciem mieszkania jest sporo kłopotów, chociaż na wsi przybywa nowych domów. Problem mieszkaniowy nauczycieli wiejskich może być rozwiązany jedynie poprzez budowę domów nauczycieli, czy też mieszkań służbowych w nowo wznoszonych obiektach szkolnych.

W przedjazdowej dyskusji wysunięto również postulat budowy domów dla zasłużonych, a jeśli komuś termin ten wyda się zbyt patetyczny, to powiedzmy skromniej — domów dla wysłużonych nauczycieli. Zresztą pomoc dla emerytowanych nauczycieli zwłaszcza tzw. starego portfela, jest zagadnieniem szerszym, przez nauczycieli uznanym za drażliwy; ZNP czyni starania w sprawie wydania ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym nauczycieli.

Z tej grupy zagadnień wspomnę jeszcze o jednej sprawie, może nie najważniejszej, ale pośrednio istotnej dla wielu uczniów i rodziców. Chodzi mi mianowicie o zajęcia pozalekcyjne; prowadzenie kółek zainteresowań i kółek przedmiotowych jest opłacane w wysokości 8 — 12 zł za godzinę... A zajęcia pozalek-

cyjne spełniają ważną rolę dydaktyczną i wychowawczą.

W ogóle wyłania się kwestia bodźców ekonomicznych w szkolnictwie. Owszem, ustanowiono fundusz postępu pedagogicznego, przynajmniej nagrody, których nieb. podział jest powodem — oględnie mówiąc — wielu przykrych nieporozumień, lecz w sumie nie rozwiązuje to problemu, o czym żywo dyskutują nauczyciele w kampanii przedjazdowej. Godna uwagi jest propozycja, którą nawiasem mówiąc słyszałem nie od nauczyciela; chodzi mianowicie o wprowadzenie stopni specjalizacji, na wzór lekarskich. Wnioskodawca, wiceprzewodniczący Prezydium Stołecznej Rady Narodowej uważa, że należy materialnie zainteresować nauczycieli zdobywaniem tych stopni, gdyż obecny system wynagradzania —

Dzdzisław Kozioł

MANDAT ZAUFANIA

uzależniony od wykształcenia i stażu pracy — jednakowo działa na rzecz dobrego i złego nauczyciela. Wniosek rzeczywiście ciekawy.

W dyskusji przedjazdowej zasadniczym tematem są programy nauczania, konkretniej zaś — możliwości ich realizacji. Zdaniem kompetentnych działaczy związkowych, dyskusję nad programami zbyt późno rozpoczęto w środowiskach nauczycielskich. Praktyka dydaktyczna — twierdzi wielu nauczycieli — wykazała, że nowym programom może poddać tylko młodzież bardzo zdolna i zdolna. Chodzi szczególnie o klasy ósme. I tak np. matematyka obejmuje elementy algebry obowiązujące dotychczas w X klasie, wprowadzono funkcje, rzutowanie na trzy płaszczyzny itd. Słowem, podobno program wykracza poza możliwości ucznia, a klasa VIII jest przecież obowiązkowa.

Z ust wysokiej rangi przedstawiciela Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego słyszałem, że nie programy są trudne, lecz ich realizacja, bo nauczyciel uczy według niego po raz pierwszy; po prostu — mówi — nauczyciel musi się nauczyć realizacji programu, musi go sprawdzić w praktyce. Kłopoty z klasą VIII wynikają ponadto z braków wyniesionych przez uczniów z klas niższych.

Nie odmawiam racji temu rozumowaniu, ale mimo wszystko sprawa jest wysoce skomplikowana. Np. w oparciu o wiele wypracowań maturalnych w liceach ogólnokształcących doszedłem do wniosku, że młodzież nie rozumiała Zeromskiego. Dlaczego, to już problem oddzielny, lecz Zeromski obowiązuje obecnie w klasie VIII. — Jak sobie młodzież radzi z „Ludźmi bezdomnymi”? — pytałem w jednej ze szkół. — W ogóle sobie nie radzi — pada odpowiedź — bo tej książki zdobyć nie możemy.

Brak lektur uniemożliwia pełną realizację programu nauczania. Dotyczy to również innych przedmiotów, dla których nie ma wprost niezbędnych pomocy naukowych. Materialne zabezpieczenie reformy szkoły podstawowej było niewystarczające, co w wielu szkołach stawia pod znakiem zapytania skuteczność reformy. Na posiedzeniu Zarządu Okręgu ZNP mówiono o nowych szkołach, w których brak najbardziej elementarnych pomocy, w innych zaś warunki lokalowe uniemożliwiają ich wykorzystanie.

Akcentuję negatywy; nie sądzę bowiem, że w tym wypadku chodzi o potrzebę rozjaśnienia obrazu

sytuacji przez podawanie przykładów wspaniale wyposażonych szkół, których rzeczywiście nie brakuje.

Ważny jest jeszcze taki aspekt zagadnienia: na bazie programów szkoły podstawowej opracowano nowe programy dla szkół średnich. Jeśli ze szkoły podstawowej uczeń nie wyniesie odpowiedniego zasobu wiedzy...? Odpowiedź jest chyba jasna, chociaż środki zaradcze bynajmniej nieproste.

Wyłania się potrzeba dalszych zmian organizacyjnych. Np. czy nie jest słuszne, by program klas I—IV realizować w ciągu trzech lat celem wygoszpodarowania jednego roku na przerobienie rozległego materiału klas V—VIII? Koncepcja ta ma wielu zwolenników. Wysuwa się także kwestia obniżenia dolnej granicy obowiązku szkolnego do 6 roku życia; dzieci rozwijają się przecież szybciej. Dyskutuje się o tym w miastach, a wnioskodawcom chodzi również o załatwienie przy okazji problemu przedszkół, w których — jak wiadomo — brakuje miejsc. Tego rodzaju zmiany wymagają jednak uprzednich eksperymentów.

Wspomnę na marginesie w nawiązaniu do jednego z poprzednich artykułów o szkołach specjalnych dla wybitnie utalentowanej młodzieży, że tego rodzaju eksperyment wprowadza Kuratorium stołeczne. Dla utalentowanych materialnie uczniów w warszawskich liceach zorganizuje się oddzielne klasy, ze zmienionym programem nauczania.

Powróćmy jednak do spraw, które już stoją na porządku dnia. Trudny program klasy VIII nauczyciele realizują kosztem dodatkowych lekcji, konsultacji i bezinteresownych korepetycji. — Nie mamy innej możliwości — twierdzą — aby przerobić wymagany materiał. Uwzględnijmy i inną okoliczność, o czym otwarcie powiedział jeden z kierowników szkół: nauczyciel, zwłaszcza jeśli ma młodzież mniej zdolną, często staje się liberalny, stawia notę „państwową”, choć uczeń nie opanował materiału. — Nas się ocenia — twierdził — według wskaźników sprawności szkoły...

Wobec tego problemu nie można przejść obojętnie. I w moim przekonaniu jest zjawiskiem pozytywnym, że nauczyciele otwarcie podnoszą trudne, kontrowersyjne problemy; klucz do ich rozwiązania spoczywa często poza szkołą. Mam na myśli nie tylko bazę materialną, ale także pomoc udzielaną szkołom i nauczycielom przez rodziców, organizacje społeczne, zakłady pracy. Ta cała gama zagadnień zajmuje sporo miejsca w dyskusji przedjazdowej, lecz obawiam się, że w tym zakresie nie zaszły zasadnicze zmiany. Krąg faktycznych sojuszników szkoły jest chyba nadal wąski, ale to temat zbyt rozległy, by można go skwitować ogólną oceną. W każdym bądź razie Związek Nau-

(Ciąg dalszy na str. 3)

Wojciech Kawiński

Kraj

Wieczność w wosk się zgniata.
O. Mandelsztam

Tobie mam oddać swoje dzieje
Namalowane snem Rzeźbione
Powieką i skrzydłem krwi

Wyzbyć się krajobrazów
Które znam na pamięć
Jak rosła
Bliskie
Spalone wyschłe pokryte
Moimi palcami
I te korale ostre
Obejmujące tętno
I te pchnięcia ciosy
Z góry na mnie kładzione
Maski otwarte na wiatr
Liściaste motyle
Nocne zmęczenia
Słupy zaduchu
Prosto godzące w płaskorzeźbę
Imiona wycytane
Klimaty zaznane po wielokroć
Sposobię się Przechylam coraz
W kierunku twoim
Tak mnie nauczono
Choć jestem tylko wykutym
W żywym drzewie
Posągiem niewdzięczności

gdzie jest twoje miejsce w tym świecie?
jaki jest twój rachunek?

J. Iwaszkiewicz

Małe bezpieczne światy
jak uciekać stamtąd
gdy dookoła
plonie ogień
wciąż nierozpoznany
gdy dają znaki
z utopionej łodzi
a granica
wyjęta z wewnętrznej mapy
to głuche kroki
odbicia serca o ścianki
sezonu zmęczenia
narodziny śniegu

Małe bezpieczne światy
osłonić je jak piomyk
być
między nimi
i pomiędzy ziarnkiem
pogardy i śmiechu
zaznać
zaznaczyć
na nitce otaczającej
to na co patrzący
nie widząc do końca

Wiersze z tomiku „Ziarno rzeki”, który wkrótce ukaże się w druku.



Krajobraz z okolic Dymowa
FOT. Z. POSTEPEKI

Józef Kret

S P O T K A N I E

Audycja, jaką niedawno wysuchałem z Rozgłośni Rzeszowskiej PR o tajnym harcerstwie („Szarych Szeregach”) działającym w Rzeszowie w okresie okupacji — wyzwołała u mnie rój wspomnień. Ożyły na nowo w wyobraźni wydarzenia, które — zdawało się — zapadły zupełnie w zakamarki niepamięci.

Przypomniało się też w związku z tą audycją jedno spotkanie, które tu pokrótce opiszę. Powiem od razu, że było to spotkanie na Zamku Lubomirskich w Rzeszowie w celi nr 44, do której „zaproszony” zostałem przez gestapo 2 maja 1941 r.

Zmobilizowany jako oficer rezerwy odbyłem kampanię wrześniową 1939 r. Uciekając z niewoli osiadłem wraz z żoną i córką w rodzinnym Staromieście pod Rzeszowem, pomagając siostrze w prowadzeniu jej gospodarstwa rolnego. Tu dowiedziałem się, że figuruję na Śląsku na liście poszukiwanych przez tamtejsze gestapo.

Zaczął się praca konspiracyjna. Wcześniej, bo już w grudniu 1939 r. rozpoczęliśmy z żoną tajne nauczanie, redagowanie i powielanie miejscowego „Biuletynu”, a w roku 1940 organizowanie tajnego harcerstwa („Szare Szeregi”).

Identyczne były wojenne koleje losu mojego serdecznego przyjaciela, krakowianina Tadeusza Wąsowicza. On także zbiegłszy z niewoli pod odbytej kampanii wrześniowej schronił się w rzeszowskie strony. Zamieszkał w Babicy u tamtejszych właścicieli dworu pp. J. Tutaj w dogodnych warunkach życia kulturalnego był korepetytorem młodzieży z terenów wschodnich, która znalazła schronienie w gościnnych progach pp. J.

Szybko dowiedzieliśmy się o sobie i odtąd Wąsowicz był częstym naszym gościem w Staromieście. Dwie dziedziny działalności i zainteresowań wypełniły teraz jego życie: konspiracja w tajnym harcerstwie oraz uczenie i wychowanie powierzonej mu młodzieży w dworzcu.

Uważając, że po upadku kampanii wrześniowej jest naszym obowiązkiem dalsze prowadzenie walki z wrogiem w zmienionych już okupacyjnych warunkach — przystąpiliśmy z Wąsowiczem i innymi harcerzami do organizowania tajnego harcerstwa na terenie Małopolski. Poprzedzone to było kilkoma zebraniem w Krakowie, w których brali udział m. in. instruktorzy harc.: ko-

mendant Seweryn Udziela, Władysław Muż, Ludwik Waclawek, Al. Jamrozek i my obaj z Wąsowiczem. Punktem kontaktowym w Krakowie była Składnica Harcerska, prowadzona przez Lidę Waclawkową.

Ustaliliśmy program i omówiliśmy plan akcji. Podzieliśmy terenowy zasięg działania między poszczególne członków organizacji. W Rzeszowskiem przydział ten przedstawiał się następująco: Rzeszów, Przemysł, Nisko, Stalową Wołę objął Władysław Lutecki. Jasło, Gorlice, Krosno, Sanok — Tadeusz Wąsowicz. Łańcut, Przeworsk, Jarosław — Tadeusz Szymański. Mnie przypadły: Sędziszów, Dębica, Mielec, Tarnobrzeg.

Stanowiliśmy młodzieżową podbudówkę ZWZ. Obowiązywał system piątkowy. Program był zróżnicowany: młodzi druhowie uprawiać mieli swe praktyki harcerskie ze szczególnym uwzględnieniem służby samarytańskiej, zwiadowczej, a poza tym mieli uprawiać wychowanie fizyczne oraz kulturywać harcerskie dobre uczynki ze szczególnym uwzględnieniem osób poszkodowanych przez działania wojenne. Starsi mieli — poza zdobywaniem harcerskich sprawności przydatnych w akcjach konspiracyjnych — uprawiać „Mały Sabotaż” i przygotowywać się do poważniejszych akcji bojowych, które miały nastąpić.

W trudnych warunkach okupacyjnych wystartowali Szare Szeregi do pracy na wyznaczonych terenach naszej sieci organizacyjnej.

Niestety, nie było im dane rozwinąć szerzej skrzydeł do prac, które podjęły z całą determinacją. Rychno bowiem nastąpiła wpadka: jeden z szaroszeregowców schwytany z ulotką nie wytrzymał tortur na gestapo i podał kilka znanych mu nazwisk konspiratorów, a wśród nich komendanta w Krakowie hm. Seweryna Udziela. Ten również nieudolnie zmasakrowany, podobnie jak Al. Jamrozek, nie zniósł nieludzkiego bicia, ujawniając parę nazwisk.

Nastąpiły dalsze aresztowania. Mnie aresztowano rankiem 2 maja 1941 r. w Staromieście i przewieziono od razu do siedziby gestapo w Rzeszowie. Rozmyślałem po drodze co jest powodem; czy dekonspiracja Szarych Szeregów, czy może praca polonijna na Śląsku. Ale już po pierwszym pytaniu ze strony gestapowca zorientowałem się, że chodzi o „Szare Szeregi”. Zapytał mianowicie — co wiem o „SS” (chodziło o skrót Szarych Szeregów).

Udając nic nie wiedzącego odpowiedziałem, że „SS” oznacza formację niemiecką Schutz-Staffeln. Na to ciężką łapą gestapowca dostałem szereg uderzeń w twarz. Ponawia pytanie, a ja konsekwentnie powtarzam odpowiedź, po której następują coraz mocniejsze uderzenia, aż wreszcie dwaj oprawcy wala mnie na stół i biją bykowcami. Mówią wreszcie, że to nie o Schutz-Staffeln chodzi, lecz o Szare Szeregi, o których ja im muszę wszystko opowiedzieć, jeśli chcę stąd wyjść żywy. Pytają o Władysława Luteckiego, na co odpowiedziałem, że pierwszy raz słyszę takie nazwisko. Nie wiedziałem, że W. Lutecki jest już aresztowany. Jak się później dowiedziałem on również zapytany o mnie dał identyczną odpowiedź: że o takim nigdy nie słyszał. Czyżby teletypiczne działanie weszło w grę?

Po tym pierwszym przesłuchaniu wywleczono mnie, dokładnie „zoparowanego” na korytarz. Za chwilę przyprowadzono Luteckiego i żelanymi kajdankami skuto moją rękę z jego ręką. Zaprowadzono nas do więzienia mieszczącego się na Zamku w Rzeszowie i każdego skierowano do innej celi. Ja osadzony zostałem w celi nr 44. Było tam już 18 uwięzionych, konspiratorów różnego autoramentu. Najdłużej odsiadującym areszt w tej celi był Stanisław Stanuch, który z tego tytułu pełnił funkcję „starszego” celi. Władząc, że nie mogę usiąść ani leżeć bokiem czy na wznak — ułożyłem mnie bruchem na przyci i mokrymi rękawicami obłożyłem obite ciało.

Ktoś usiadł obok mego łoża i w milczeniu uparczywie wpatrywał się we mnie. Miał opuchniętą, szczerbiącą od pobicia twarz. W jego oczach dostrzegłem iskry zagadkowego uśmiechu. Kto to może być? — medytowałem. Wzrok jego wyrażał pytanie: — „Cóż ty znowu, nie poznajesz mnie?”

Poznałem wreszcie: to mój przyjaciel Tadeusz Wąsowicz. Przesłuchania trwały dalej. Co kilka dni odbywało się ciężkie „spacer” z zamku do siedziby gestapo przy ul. Jagiellońskiej. Najcięższy moment przeżyłem w związku z konfrontacją z naszym komendantem Sewerynem Udzielą. Dotąd na pytania o niego odpowiadałem zawsze, że nie znam takiego. Aż tu w czasie jednego przesłuchania wprowadzają Udziela (przywiezionego z Krakowa). Gestapowicz z triumfującą miną zapytał, czy znam tego człowieka. Cóż miałem powiedzieć, kiedy najwidoczniej Udziela przyznał się do wszystkiego, a m. in. do tego, że odwiedził mnie raz czy dwa zimą w Staromieście. Coś mi podszepnęło taką odpowiedź: — Tak, przypominam sobie, że ten człowiek jednego zimowego wieczoru przyszedł do naszego mieszkania w Staromieście prosząc o nocleg. Zgodziłem się, widząc, że jest zębnięty i wygłodzony. Następnego dnia wczesnym rankiem odszedł. Nazwiska jego nie znałem i nie wiem także teraz, jak on się nazywa.

Nie wiedząc kiedy skończą się przesłuchania i w obawie, bym przy dalszych torturach nie zalał się — przemycającymi grypsami dawałem znać mojemu bratu w Trzebownisku, kogo ma ostrzec przed niebezpieczeństwem. W pierwszym rzędzie chodziło mi o nauczyciela Gliwę, w Stocinie, który był moim głównym łącznikiem. Powiadomieni przez brata konspiratorzy postarali się odpowiednio do instrukcji pozacierać ślady swoje i naszej akcji.

Na szczęście tamto „przesłuchanie”, zakończone moim omdleniem — było ostatnim. Następnym razem kazano mi już tylko podpisać protokół.

Po zakończeniu naszych „spacerów” na ul. Jagiellońską zaprowadzono mnie do celi 44. Sprzyjała tej poprawie naszego samopoczucia także piękna ówczesna wiosna. Czas upływał na opowiadaniach, gawędach, wspomnieniach, a także — na przekór sytuacji — na żartach i dowcipach.

Pocieszałyśmy się wzajemnie łudząc się nadzieją, że zostaniemy zwolnieni. Nadzieje jednak zawiodły, bo w dniu 26 czerwca 1941 r. wywieziono nas do więzienia na Montelupich w Krakowie. Tutaj w stałej obawie, że przesłuchania będą kontynuowane przebywaliśmy do 12 sierpnia 1941 r.

W dniu tym załadowano nas w liczbie około 40 na dwa auta ciężarowe i wywieziono do obozu w Oświęcimiu. Tutaj po wstępnej „zaprawie sportowej” rozdzieleni po blokach i różnych grupach roboczych dzieliliśmy tragiczne losy więźniów tej mordowni. Coraz to



Dnia 7 lutego zmarł nagle w Krakowie dr Juliusz Zygmunt Kijas, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, znany polonista szkół średnich w Rzeszowie i Przemysłu oraz uniwersytetów lwowskiego i krakowskiego, nauczyciel omal dwu pokoleń w zakresie gramatyki i historii literatury polskiej, autor wielu rozpraw dydaktycznych i historycznoliterackich.

Starsze pokolenie rzeszowian, głównie pedagogów szkół średnich, które z Kijasem się przyjaźniło i pracowało podczas pamiętna przezeń obowiązków dydaktycznych w Rzeszowie, do dzisiaj wspominają go z sympatią. Nic dziwnego. Będąc rodakiem tych stron, miastu swojej młodości poświęcał swe siły.

Juliusz Z. Kijas

Juliusz Kijas urodził się 23 kwietnia 1899 roku w niedalekim od stolicy dzisiejszego województwa Głogowie, w środowisku inteligentnym. Był synem Bronisława Kijasa, który z siedzibą w tym miasteczku, dzięki zastępcom awansował na prezesa Sądu Okręgowego w Rzeszowie. Swoim szlachetnym postępowaniem z ludźmi zyskał sobie opinie człowieka rzadko spotykanej dobroci i życzliwości. Wiele z tego odziedziczył też jego syn Juliusz. Gimnazjum ukończył Kijas w Rzeszowie w roku 1917, otrzymując tu świadectwo dojrzałości. Już w ósmiej klasie gimnazjalnej dał się poznać jako autor licznych wierszy, rozsypanych gestem ówczesnej ubogiej prasy rzeszowskiej, głównie w „Głosie Rzeszowa”; wiele z nich mieszczą sztabuchy jego kolegów nauczycieli z tych lat, z którymi się szczerze przyjaźnił. Wiersze te o charakterze okolicznościowym, aczkolwiek nie stanowią prawdziwej poezji, odznaczała się jednak poprawnością oraz nienaganną formą i formą. Autor dawał w nich upust swemu patriotyzmowi podczas tak często i uroczyście obchodzonych w Galicji świąt narodowych.

Wśród owych wierszy znajdują się m. in. utwory: na śmierć Lucjana Rydla i Henryka Sienkiewicza. Dowodzą one, że Kijasowi bliscy byli ci autorzy, których dzieła stały się własnością narodu. To, o czym marzył Mickiewicz, osiągnął od razu autor „Trylogii”.

„Jego książki polecały
Między miastami, sioła,
Dusze polskie rozbudzały
Jak trąba anioła.
I do wiosek zabłądziły,
Dotarły pod strzechy,
By i wiejskie serca pily
Z nich balsam pociechy”

W ostatnich latach, w Uniwersytecie Jagiellońskim, szczególną opieką otaczał tych, którzy pochodzili z Rzeszowszczyzny. Licea na terenie tego województwa wybierał zawsze jako miejsce inspekcji polonistycznych praktyk studenckich. Rodakom z Rzeszowszczyzny ułatwiał dalszy start naukowy, zachęcał usilnie do prac o tematyce regionalnej, bywał promotorem i recenzentem ich prac doktorskich.

W Kijasie straciły szerokie rzesze polonistów, szczególnie rzeszowskich swojego przyjaciela i opiekuna.

ALEKSANDER ŻYGA

społeczna na terenie miasta. W licznych artykułach publicystycznych zabierał głos w najważniejszych sprawach, które dotyczyły zagadnień kulturalnych. Szczególnie wiele mieści ich „Gazeta Rzeszowska” tych lat.

Praca nauczycielska i publicystyka nie przeszkodziły Kijasowi w zdobyciu doktoratu. Otrzymał go za opracowanie twórczości pisarza ziemi sanockiej. Rozprawa Zygmunt Kaczkowski jako współzawodnik Sienkiewicza; ukazała się drukiem w roku 1928 w Krakowie w serii prac historycznoliterackich.

Z wcześniejszych wystąpień publicystycznych Kijas dotyczących stosunków kulturalnych Rzeszowa odnotować należy zamieszczony w roku 1929 na łamach „Gazety Rzeszowskiej” artykuł pt. „O kulturze duchowa Rzeszowa”, w którym nawołując do postępowych uchwał Rady Miejskiej, mających na celu dobrobyt ludności miasta, upominał się także o strawę duchową dla rzeszowskiego społeczeństwa. Ostrzegał zwierzchników Rzeszowa przed upadkiem cieszącej się wzięciem „Reduty”, nalegał na utworzenie i udośćknie publicystyki specjalnego księgozbioru naukowego, który by zainteresowanym umożliwił prace naukowe. Oprócz artykułu o Julianie Kadencie-Bandrowskim, który (Bandrowski) w tymże samym roku wygłaszał w rodzinnym mieście odczyt o Zeromskim, na spaliłach „Gazety Rzeszowskiej” drukowane były opracowane przez Kijasa dzieła „Lutni” w ciągu pierwszego 25-lecia, 1904—1929, oraz opowiadania — reportaże z jego wakacyjnych wycieczek do Hiszpanii, Egiptu i Turcji.

Zaszczepione podczas pobytu Kijasa w Rzeszowie zainteresowania regionalne ustąpiły później w Lwowie pracom dydaktycznym i historycznoliterackim. Rezultatem ich były liczne rozprawy o twórczości Sienkiewicza, dotyczące głównie źródeł historycznych

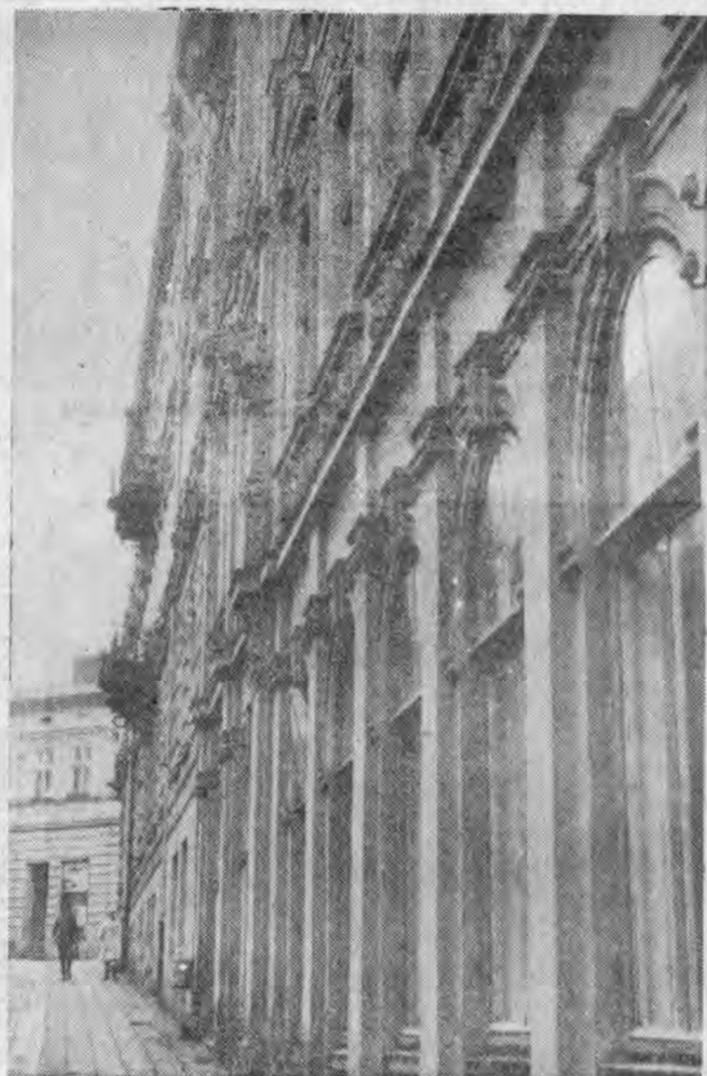
„Trylogii”. Temu autorowi pozostał wierny do ostatnich lat życia; ostatnią z jego drukowanych prac była rozprawa o powieści „Na polu chwały”, zamieszczona w Sienkiewiczowskim numerze „Pamiętnika Literackiego” (1966).

Po spodeniu ostatniej wojny we Lwowie i Rzeszowie, gdzie zaraz po wyzwoleniu podjął prace w tutejszym szkolnictwie średnim, stałym miejscem pobytu Kijasa stał się Kraków, gdzie pracował przy Katedrze Historii Literatury Polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim. I tutaj prace dydaktyczne — potrafił świetnie łączyć z pracą naukową. Nie sposób w tym miejscu wymienić mnóstwa prac naukowych, dydaktycznych i historycznoliterackich Kijasa; znaleźć je można bez trudu w „Słowniku współczesnych pisarzy polskich”.

W długoletniej pracy dydaktycznej w szkołach średnich, jak i wyższych dał się Kijas poznać nie tylko jako świetny dydaktyk, wykładowca i naukowiec, ale przede wszystkim jako człowiek. Człowieczeństwo, dobroć i życzliwość to zasadnicze cechy jego charakteru. Serdecznie przyjaźnił Kijasa — nauczyciela zaszczepił, który się z nim kiedykolwiek zetknął. Jego „pedagogia” wykraczała niejednokrotnie daleko poza wykonywanie normalnych obowiązków nauczyciela; interesował się sytuacją materialną swych wychowanków, pomagał im na każdym kroku w życie pozaszkolnym. Zadržana ze swymi wychowankami przyjaźń nie kończyła się z chwilą odeszczenia przez nich murów szkoły czy uczelni, lecz trwała nadal. Dowodem tego były kilkakrotne zjazdy uczniów i uczennic klas, w których był wychowawcą, a na które wszyscy stawali się niemal w kompletach.

W ostatnich latach, w Uniwersytecie Jagiellońskim, szczególną opieką otaczał tych, którzy pochodzili z Rzeszowszczyzny. Licea na terenie tego województwa wybierał zawsze jako miejsce inspekcji polonistycznych praktyk studenckich. Rodakom z Rzeszowszczyzny ułatwiał dalszy start naukowy, zachęcał usilnie do prac o tematyce regionalnej, bywał promotorem i recenzentem ich prac doktorskich.

W Kijasie straciły szerokie rzesze polonistów, szczególnie rzeszowskich swojego przyjaciela i opiekuna.



Architektura przemysła

FOT. M. KOPEĆ

(Ciąg dalszy na str. 5)

Archiwum Anny Achmatowej

Rodzina zmarłej w roku ubiegłym wybitnej poetki radzieckiej — Anny Achmatowej przekazała przez nią archiwum Biblioteki Publicznej w Leningradzie. Archiwum to zawiera tysiące dokumentów. Są to rękopisy i maszynopisy z własnoręcznymi poprawkami i uzupełnieniami poetki.

Styl pracy Achmatowej, jej warsztat twórczy w sposób najbardziej charakterystyczny ukazują materiały związane z powstawaniem „Pematu bez bohatera”. Poetka zaczęła pisać ten utwór w 1941 r. Opublikowała jednak tylko kilka fragmentów tego wielkiego dzieła poetyckiego, nad którym pracowała prawie ćwierć wieku.

Wśród przekazanych papierów znajdują się też rękopisy esejów, które autorka poświęciła twórczości Puszkina. Biblioteka otrzymała także autobiografię poetki, jej przekłady utworów Juliana Tuwima i Rabindranatha Tagore.

W bogatej spuściźnie literackiej Anny Achmatowej znajdują się także notatki z różnych lat na temat spotkań z poetami — Aleksandrem Błokiem, Osipem Mandelstamem, tłumaczem Michałem Łozińskim, malarzem Amadeo Modiglianem oraz liczne listy i depeche, m. in. od Aleksandra Fajiejewa, Borysa Pasternaka, Samuela Marszaka,

Krystyna Świerczewska

SIE KOCHAMY

Ostatniego dnia sierpnia 1928 roku odbyła się w Berlinie premiera „Opery za trzy grosze” Bertolta Brechta. Odbyła się w szczytowej fazie dobrobytu republiki weimarskiej, fazie, którą dość często nazywa się piękną epoką mieszczaństwa niemieckiego. Odbyła się także na rok przed wielkim kryzysem ekonomicznym, na pięć lat przed dojściem Hitlera do władzy i na pięć lat przed emigracją Brechta, który dosłownie na drugi dzień po puczu faszystowskim ucieka z kraju. W ów piękny czas finansowo - erotycznego rozpasania, komfortowego życia i świetnie prosperujących banków Brecht rozszalony pozorną bez troską światła rzuca swój dramatyczny protest, w którym odżywa cirkus jako pojęcie masowego widowiska; nie-co zaś przedtem wyznaje:

„Nie spodobał mi się ludzie mojej klasy
... przylączył się do pospolitych ludzi”.

Nie ma ich jednak w teatrze, gdzie króluje bulwarówka, mieszczańska драма psychologiczna, iluzja, udawanie, aktor wzywający się w tekst. Brecht marzy o nowej widowini, co najmniej tej że stadiów sportowych, którą nazywa najsprawiedliwszą; marzy o wprowadzeniu prostego, nieusztalonego smaku widza i wie, że ów daleki będzie teatrowi gładkiej poprawności, że czeka na widowisko, na demaskację dotychczasowego teatru, słowem — na teatr nowy. I proponuje mu „Opera” teatr epicki, gdzie autor opisuje postać, daje do niej niejako komentarz, montuje dramata z wielkości form — pod podświetką sensacyjnej akcji ubarwionej piosenką łatwo brzmiącą, niemal podwórkową, opartą na elementach jazzu (i tu warto przypomnieć jego ludowe korzenie), tworzy niby — musical, ale musical skandalizujący, łamiący usłwiconę obyczaj, o poronującej wymowie, moralizatorski, demaskujący, brutalny. I strzela tym policzkiem...w. dobrze ubraną, sątą widowinię berlińską.

Siarczyście zabrzni on pierwszy finałem „Opery” o niepewności egzystencji ludzkiej, że „człowiek żyje, a bledny świat”, że „to jest bardzo smutne, ponure i okrutne”; groźnie — gdy rekapitułuje w II finale:

„Bo z tego żyje czelek, że co godzina,
Innego dławii, dusi, gnębi, nie chce mu dać żyć”;

sztyderczo — w trzecim finale: „nie przesładujcie zła zbyt uporezywie, wnet samo zmarsnie, bliski jego kres”.

Tworzy więc świat brutalny dzievek, gangsterów, dusziszów, przekupnych policjantów. Tworzy świat, o którym powie później Dürrenmatt słowami Klary Zachanassian: „Świat ze mnie zrobił dźwięk, ja ze świata zrobiłem burdel” i tworzy go na miarę wojującego ironisty, ubierając to całe towarzystwo, wyrosłe z ideologii mieszczańskiej w najbardziej mieszczańskie nawyki, reakcje, przyzwyczajenia. Wyposaży hołotę w chrześcijańskie ideały, Peachumowi przyda Biblię, ale Biblię przywiązaną łańcuchem do

kasy; żelazny łańcuch chroni przed innym złodziejem słowo boże. Bandyci zabijają, ale zabijają tylko wtedy, gdy muszą; gwałcą — ale tylko panny pełnoletnie, kochają — i wtedy przedstawiają się na spokojniejsze łajdactwo: z ograbiania banków na zakładanie banków. Wszyscy razem marzą o spokoju, dobrobycie, godnościach; wszyscy chcą być w zgodzie w prawem. Wszyscy chcą idealnie spokojnego wrastania w dobrobyt kosztem mniej obrotnych, bo człowiek proszę państwa, nie może być za mało podły...

Opisowa poetyka Brechta daje w „Operze” wielkie możliwości inscenizacyjne. Brecht bowiem — to przede wszystkim człowiek teatru: rozumie jego wymogi, szanuje prawa, drzy o widza. Wie, że nuda zarżnie się każdą nauką; wie, że demaskacja zła nie może być dętą propagandą, gdyż ideał wtedy nie obroni; wie, że jeśli teatr jest słowem — to słowo musi ranić, wejść w kolizję z komunalem; jeśli jest ruch — to musi wypływać z konkretnego działania się akcji, więc przygotowuje ją z gładkością niepojęmierną, ośmieszając happy endem szczęśliwe zakończenia ponurych w gruncie rzeczy egzystencji. Sam narzuca dystans, sam wysuwa propozycje, sam podkreśla kontrasty między ślicznymi banami i dramatycznym sensem. I taki jest Brecht — dziś niemal kłasyk teatru awangardowego, nawet jeśli przyjmujemy, że pewne wtedy nowe prawdy dziś się postarzą, że chwilami moralizatorstwo pobrzmiewa staroświecczyzną. Daje za to właśnie dziś i między innymi przez to pole do popisu rozumemu inscenizatorowi.

Teatr im. W. Siemaszkowej sięgnął po „Operę za trzy grosze” i drżako moje serce, co z tej ironicznej śpiewogry uczyni przede wszystkim z jej stroną wokala. „Operę” reżyseruje Stanisław Bielicki i on także gra Mackie Majchra — jej postać centralną.

Cóż dostaliśmy? Bajkę o przestępczym światku, pełną barw, ruchu, tańca; trochę wodewil — trochę operetkę; trochę estradowego „genre”. Wszelkie rodzaje wymieszanie: wielką elastyczność inscenizacji, dużo zabawy, wartki tok widowiska; nieźle, może aż nazbyt poprawnie śpiewane songi, którym tę gładkość aranżacji narzucił Edward Barczewski, prowadzący kierownictwo muzyczne. Dostaliśmy poza tym opowieść zebracza, z przesunięciem punktu ciężkości na erotyzm; ale nie erotyzm groźnie rozbuchany, lecz liryczny, niemal powszechne „sie kochamy”. Myślę, że zdecydowało tu ujęcie wątku Polly — Mackie, słodko intonowanego w songu miłosnym, czy wielkie wyeksponowanie songu, zresztą dla mnie nie najpiękniejszego, Polly, gdy oznajmia rodzicom o swym małżeństwie. Myślę, że wpłynęła na taką koncepcję sama rola Mackie Majchra, w której Bielicki znowu był bardziej lirycznym, mniej — zimnym dramatem, zmagającym się w co celniejszych partiach Macheatha, z gładkością pieśniarza operetkowego.

Zbyt baśniowa poetyka, gdzie cynamiz był doborudzyn, głupstwo — nieszkodliwe, przyjaźń — ciepła, miłość — wzruszająca stepia brechtowski pazur i niewiele tam tego znalazłam, co było powodem emigracji dramaturga, powszechnego rozświetlenia, jakie budził w świecie wielkiego kapitatu.

Wdzierały się jednak w tę wdzięczną zabawę partie wcale znakomite: wątek Peachumowski, w którym Zdzisław Kozioł bliździł już w parę tygodni po premierze aktorstwem drapieżnym, ostrym i był rodem z Brechta wojującego; świetny, znakomicie śpiewany song rodzinny przez Peachu-



ma, panią Peachum (Stanisława Wysocka) i Polly (Ewa Ciepiela); sztydercze songi braci zebracze; piękny song o Salomonie w wykonaniu Ireneusza Erwana.

Była także scena ściśle przylegająca do stylizacji Brechta: owo arcy mieszczańskie „rozpasanie” w burdelu, gdzie Magda Bartoszek, Elżbieta Lityńska i Elżbieta Zagórska wraz z Jenny Korsarką (Irena Chudzikówna) stworzyły maleńkie arcydziśnio spektaklu, rozsuwając marzące mity o przystani rodzinnej, zasobnych w białiznę szafach, spokojnych uczuciach przywiązania i sympatii. Ironijka melodramatyczna, spowijająca wielce intratne, a zarazem męczące „działania” przedstawicielek najstarszego na świecie zawodu — to był ów ton, w którym Brecht czuje się znakomicie. I to był ten moment, który rozłamywał ową powszechną „kochajmy się” nutą dysonansów, wieloznaczności, autentycznego dystansu. To był przy tym kawałek autentycznej belle epoque mieszczańskich republiki z końca lat dwudziestych — brechtowski pazur wymanicurowany lakierem wulgarnego, jadłowitej słodyczy.

Wdzięczny Mackie, co nie a nie brechtowskich rad nie słuchał, że ma go grać aktor, co będzie działał na kobiety mniej jako piękny męczaczyna niż jako bogaty męczyczyna — działał akurat z przewrotną odwrócenia wskazań. Ani był przysadzisty, ani miał głowę o kształcie lysiejaczej rządkiewki, ani był też pozbawiony poczucia humoru, co tak zalecał Bertolt Brecht. Miał za to sempolński gest i prawie ładyszowski głos, co znalazło świetne zastosowanie dopiero w scenie finałowej, zagranej zgodnie z intencjami autora jako parodia opery; dodajmy — dowcipna parodia.

Z nie przemijających zaś spraw odnotuję tu jeszcze song o niepewności egzystencji ludzkiej, śpiewany przez Franciszka Buratowskiego, Józefa Jachowicza, Jerzego Piórkowskiego i Zbigniewa Zarembe oraz cudowną, umowną, opracowaną w szczegółach, dopasowaną do wielkości sceny i bardzo funkcjonalną scenografię Wojciecha Siecińskiego, który dał plastyczne wizje brechtowskie najbliższe ideału.

Teatr im. W. Siemaszkowej: Bertolt Brecht: „Opera za trzy grosze”. Muzyka: Kurt Weill. Reżyseria: Stanisław Bielicki. Scenografia: Wojciech Sieciński. Kierownictwo muzyczne: Edward Barczewski. Asyst. reż.: Józef Jachowicz. Osoby: Z. Kozioł, J. Wysocka, E. Ciepielówna, St. Bielicki, W. Zawirski, A. Cellari, I. Erwan, W. Galazka, A. Fornal, T. Czarnowski, I. Chudzikówna, E. Lityńska, E. Zagórska, M. Bartoszek, J. Jachowicz, Fr. Buratowski, Z. Zarembe, J. Piórkowski, Z. Bartoszek, T. Mroczek, W. Mierzyński.

Premiera: 5 lutego 1967 r.

Na tropach ludzi ciekawych

TRZYNASTY LAUR

Z Ogólnopolskiego Przeglądu Amatorskich Zespołów Estradowych, który zorganizowano w Łodzi w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych, rzeszowska „Meluzyna” wróciła z trzynastym laurem do wieńca niemałej już i tak sławy. Laur przypięło zajęcie pierwszego miejsca ex aequo z zespołami: ZPB im. Juliana Marchlewskiego w Łodzi i teatrem „Bufor” — ZZZK z Warszawy.

„Meluzyna” zdobyła tę nagrodę „Rzeszowską szopką satyryczną — 1966”, której autorem — jak ogólnie wiadomo — jest inż. arch. Władysław Szwaja.

„Szopki” od czterech lat cieszą się niezmierną popularnością i zasłużoną sympatią rzeszowian. Dotychczas Władysław Szwaja przedstawiał licznych więcej i mniej znanych mieszkańców naszego grodu w sposób najrozmiejniejszy, ale zawsze sympatyczny i życzliwy. Dziś pozwalamy sobie zmienić rolę i uczynić pana inżyniera bohaterem, co prawda nie szopki (nie nasza specjalność), lecz takiej zwykłej przyjacielskiej rozmowy.

Był pan świadkiem kolejnego sukcesu „Meluzyny”, no i własnej „Szopki”. Właściwie dlaczego pokazywać w Łodzi „Szopkę — 66”, a nie ostatnią?

Po prostu dlatego, że tę przedstawialiśmy jesienią ub. roku na przeglądzie wojewódzkim w Debicy. Zgodnie z regulaminem Festiwalu, na przeglądzie wyższego szczebla trzeba pokazać ten sam program. W czasie spotkania w Debicy „Szopka — 67” była dopiero w zamyśle.

A jeżeli był istniała, czy pokazywałbyście tę ostatnią?

Na pewno tak. Do niej szczególnie jestem przywiązany. Jest ona jakoby podsumowaniem moich doświadczeń w tej dziedzinie. Starałem się zbudować ją na zasadzie ciągłych obrazów scenicznych, odejść od tradycji. Dotychczas — raczej wyłącznie — przedstawowałem tylko w szopkach różne postaci, wiążąc poszczególne scenki słowem wprowadzającym lub komentarzem.

Klasyczna szopka to worek z pigułkami. Ja staram się ten drobiazg posklejać w „potężne piguły”. Daje to nowe możliwości warsztatowe, pozwala przybliżyć szopkę do konwencji teatralnej.

Jak w ogóle powstaje szopka?

Bardzo prosto. Od stycznia do grudnia słucham piosenek, dobrej i złej muzyki, chodzę po ulicach, bywam na zebraniach, pilnie czytuję gazety... Pewnego dnia krystalizują się tematy — moim zdaniem — godne uwiecznienia. Wówczas wyciskam wszystkie zebrane materiały jak cytrynę, a że to co zostaje jest zazwyczaj kwaśne — to już nie moja wina. Jednak dla ołsioty dokładam trochę popularnych melodii — i pozostaje już tylko jeden drobiazg — napisanie tekstu.

I tu autor dorzuca uroczą ciekawostkę.

Czasem muszę materiały uzupełnić „drobnymi” realiami, jak nazwiska, nazwy instytucji itp. Telefonuję więc do odpowiednich placówek z prośbą o podanie tych szczegółów. Panie sekretarki są ogromnie miłe i uczynne. Nigdy nie odmówiono mi podania interesujących mnie danych, nigdy nie zapytano, po co mi one. Korzystając dziś z okazji pragnę więc podziękować jak najserdeczniej za znakomitą współpracę, a sobie życzyć, by układała się ona nadal tak pomyślnie — rzecz jasna — dla dobra ogółu...

Co mówi architekt Szwaja na „wyczytny” poety — satyryka Szwaja?

Wzrusza ramionami i przynajmniej jeden na drugiego nie ma zbyt wielkiego wpływu.

Jak doszło do dwóch pańskich wcieleń?

W szkole (podstawowej) wychylałem się pisząc podobno zabawne wypracowania. Ale bardzo lubi-

łem także rysunki. Po maturze stanąłem na rozdrożu: nauki techniczne czy humanistyczne? Wybrałem architekturę, bo spina oba te kierunki. Wydawało mi się również, że rysowanie domów jest mniej ryzykowne od pisania o ich budowlanych.

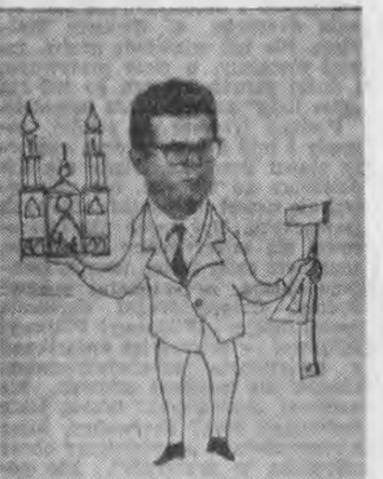
„Rozdwojenie” nastąpiło chyba dopiero podczas obrony pracy dyplomowej. W oratorskim ferwerze popełniłem małe językowe qui pro quo, na co komisja egzaminacyjna wybuchnęła homeryckim śmiechem. Wówczas poczułem, że mam jednak pewne możliwości i w dziedzinie satyry.

Z powyższego dla mnie jednak wynika, że architekt z satyrykiem od lat tworzą zgodną parę... i chyba tak jest!

Rzeczywiście, chyba tak! Na powszedni chleb pracuję w przedsiębiorstwie budowlanym w centrum Rzeszowa. Od roku — bodajże — 1957 uprawiam też twórczość satyryczną. Początkowo były wiersze w poznańskim „Kaktusie”, potem teksty dla programów rzeszowskiej „Estrady”, a od 4 lat współpraca z „Meluzyną”, dla której jestem nie tylko nadwornym tekściarzem, ale również przewodniczącym samorządu.

I tu przy słowie „Meluzyna” raz jeszcze wracamy do szopki.

Nie wyobrażam sobie — mówi pan Szwaja — szopki bez „Meluzyny”. Nasz łódzki sukces to przecież w ogromnej mierze zasługa wykonawców. Rozumiemy się doskonale i wspólnie tworzymy styl i klimat



tego widowiska. A oto ci, którzy również i na obcym, łódzkim terenie wywoływali prawdziwe huragany śmiechu i braw przy otwartej kurtynie: Danuta Kudzia, Barbara Basiak-Mróz, Maria Pasierb oraz panowie T. Cieśla, Z. Czech, J. Dąbrowski, R. Koneczkowski, St. Niski, W. Raclawicki i M. Sipowicz. No i jeszcze dwie ważne osoby ze „sztabu”: reżyser Erasm Buchelt oraz autor opery muzycznej i akompaniator — Andrzej Listwan.

Dla zespołu twórców i wykonawców jeszcze raz brawa i piękne fanfary. Liczę do wieka stawy przynosi niemały każdy nowy program, udział w każdym konkursie. Ale nie ma „róz bez kolców”. Który koleś was najbardziej kłuje?

Mamy piękny i niemały krąg kibiców, entuzjastów i zwolenników. Ale z odborem satyry bywa jeszcze bardzo różnie. Ktoś powie, że ludzie wyciągają ją z problemów, średni — wydarzenia, mi, mali — bliźni. W „Szopkach” staram się poruszać istotne bolączki, mówić o pilnych a nie rozwiązanych problemach itp. A zazwyczaj naszych słuchaczy interesują tylko bliżni, bliżni, nazwiska i nie więcej... Kochani bliżni! Ech...

Nasze spotkanie zakończymy chyba bardziej optymistycznie?

Naturalnie, że tak. Jak optymistycznie, to wróćmy raz jeszcze do problemów szopkowych. Mamy w tej dziedzinie piękne i przebogate tradycje. Czerpię z nich pełnymi garściami. Próbuję jednak sięgać po nowe formy i traktować temat nieco inaczej. Dotychczas w tekstach szopek panował kalambur, black-out, parafraza. Dążę do mocniejszego punktowania zasadniczych punktów, do fascynacji dłuższymi, zamkniętymi fragmentami muzycznymi, do wyraźniejszej parodii. Usiłuję budować (znów ta architektura!) logiczne obrazy sceniczne, w których działania bohaterów — jeśli już tak nie jest w życiu — to przynajmniej na estradzie byłoby logiczne, uzasadnione.

Do wynurzeń prowokowała i notowała za zgodą rozmówcy MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

Mandat zaufania

(Ciąg dalszy ze str. 1)

czycielstwa Polskiego w swym programie działania sporo uwagi poświęca upowszechnianiu w społeczeństwie kultury pedagogicznej.

I jeszcze jeden z wielu problemów. Dyskutuje się ostatnio zagadnienia kształcenia nauczycieli. Zjawiskiem niepokojącym we współczesnym świecie — o czym szerzej pisałem przy innej okazji — jest to, że zawód nauczycielski nie przyciąga najbardziej młodzięży; przeciwnie, do innych dziedzin gospodarki przechodzi wielu nauczycieli. W Polsce np. nauczycielstwo dostar-

cza kadr politycznych, odpowiedzialnych pracowników rad narodowych itp.

Kto zaś podejmuje pracę w szkolnictwie? Utarło się przekonanie, że do zakładów kształcenia nauczycieli idzie młodzież, której nie przyjęto do innych uczelni. I chociaż sytuacja ostatnio nieco się zmieniła, przekonanie to mocno się zakorzeniło. Nauczyciele, zwłaszcza starsi, poglądy ten utwierdzają, krytycznie, bardzo krytycznie wypowiadając się o przygotowaniach absolwentów zakładów kształcenia nauczycieli. Niekiedy odnośnie wrażeń, że krytyka ta

jest zbyt uogólniająca; podzielałem więc opinie tych aktywistów ZNP, którzy podnoszą kwestię opieki nad młodym nauczycielem, stawiając pod tym względem zadania głównie przed kierownikami szkół.

Propozycje dotyczące kształcenia i dokształcania nauczycieli uwzględniają możliwość, a raczej konieczność przygotowywania nauczycieli szkół podstawowych w wyższych uczelniach zawodowych. Przedwcześnie pisać o doniosłych konsekwencjach takiej reformy kształcenia nauczycieli; jej urzeczywistnienie — obok innych spraw — wymaga uwzględnienia problemów, o których pisałem na wstępie.

ZDZISŁAW KOZIOŁ



LUDOMIR MAZELA

GRUBY MACIEK

Baliśmy się go wszyscy, nie wyłączając nawet Fońka szesnastolatka, pielęgnującego skąpe zaczątki wąsów, ani Dzicha Szarkowskiego, przysięgłego wielbiciela Buffalo-Billów i Ken Maynardów.

Maciek pasał krowy u bogacza Grackiego. Kiedy wąską ścieżką szliśmy gęślego do stawu, pastuch siedział zwykle pod konarami młodego dębu. Był to chłop tęgi, o śniadej cerze, włosach smolistych, wypukłych, ciemnych jak agat oczach. Oczy te patrzyły obco i ciężko. Niesforne cielecia i jałdówką Maciek prał straszliwie, pedząc po łące i gniotąc czerwono kwitnące szczawie. Po wsi krążyły wieści, że Gracki — kutwa i kombinator — tłukł Maciaka za te krowie batalie, tak że nieraz musiał go kurować siwy felczer Tabak — mistrz w bezbolesnym rwanu zębów i dzięki tej sztuce sławny na całą okolicę. Musiało być w tych wieściach jakieś ziarenko prawdy, bo od czasu do czasu pasionaka zajmował się sam Gracki — chłop potężny, z piastowską grzywką, a Maciek dokładnie zniknął.

Po południu krowy przechodziły na drugi brzeg stawu. Maciek siedział wtedy na stawidle przy mostku i przyglądał się naszej kąpieli, nigdy nie zagadując nikogo z nas. Również i nasza rozkrzyczana hałastrą, zwykle bezpośrednia, a nawet natarczywa w nawiązywaniu kontaktów z dorosłymi, nie wszczyniała dyskursu z Grubym Mackiem. Nie był właściwie gruby, raczej pleczysty, o ciele masywnym i dużej głowie, ale tak go już raz „głos ludu” nazwał i tak pozostało.

Pastuch trzymał się swojej zagrody i łąki Grackiego oraz pobrzeży stawu Posmyka. Nigdy nie widzieliśmy go we wsi, nie pokazywał się nawet na niedzielnych jarmarkach. Być może nie interesował się zatrzęsieniem straganów, zapachem skór, farby, tkanin, świeżego chleba w piekarni pękatej Frumy. Czarny drażał daremnie ryczał swoje: „Piliijawy! Piliijawy! Piliijawy! — potrząsając ćwiartkami z uwieszonym szkaradziństwem. Maciek nie kupował piwawek, nie nabywał „cudownych” leków, jakie zachwalali dwaj oberwanci, bijąc z rozmachem w „anatomiczny obraz człowieka w przekroju”. Nie posmakował nigdy soppu z ogórków zachwalanych przez niziutkiego ogrodnika z Woli Blakowej, z majątku państwa Szczanieckich. Nie dla Maciaka polykał płonące pakule wędrowny sztukmistrz, a suchotniczy grajek nie dla pastucha rzepolił rzewne tango „Graj skrzypku, graj...”. Maciek miał swój maleńki świat i swoje w nim ścieżki.

Raz tylko... Pamiętam to sierpniowe popołudnie ciężkie od żaru. Leżeliśmy na dachu szopy nad podwórkiem Biegisza, gdzie miejscowi narodowcy kończyli wrzaskliwy wiec. Byli już po sumie, a teraz zbrojni w pały i kije słuchali mowy o żydokomunie. „Kazał!” lyczkowaty Sukiennik stojąc na zaimprovizowanej mównicy — ręcznym miechu, którego Biegisz używał do rozmaitych ślusarskich praktyk. Była jakaś złowroga pieśń o rytmach częstochowsko - kalwaryjskich odwrzeszczana przez tłum pałkarzy. A potem... Żydowski „ge-walt” rozdarł senną ciszę wiszącą nad rynkiem. Przynęły szczyby. Łomotnęły zamykane drzwi i okiennice. Stałem z Fońkiem obok masarni Kopka, kiedy zaatakowano Symchę. Astmatyczny szewczyna, wąty i lekliwy, nie próbował się bronić. Ostoił głowę i załamany w kolanach czekał. Dopadło go jakieś chłopisko z prętem, ale cios nie padł. Napastnik odleciał zmiękną jak bezwładny wór, preł przefrunął nad głowami gapiów. Rozległ się suchy trzask Kopkowego płotu i chłop zawisł miękko na polamanych sztachetach. Wtedy spostrzegliśmy Maciaka. Stał obok skurzonego Symchy. Oczy pastucha były ciemniejsze niż zwykle, po obnażonych rękach biegły powrozy żył. Podkasane portki odsłaniały mocne łydki porośnięte czarnym włosiem. Pusto się zrobiło obok Zyda i Maciaka. Narodowcy zniknęli, jakby ich wiatr zdmuchnął. Nie wiem sam, kiedy z Fońkiem zatrzymałem się obok cmentarza oszołomiony przebiegiem wypadku i szybkim galopem. Nie pamiętam już komentarzy i plotek, jakie obiegiły wieś po tej pamiętnej dla nas niedzieli.

Przyszła zima i Maciek zniknął z pola widzenia. Łąka nad stawem

pokryła się śniegiem, pogasły czerwone szczawie. Chodziliśmy z łyżwami na stawy dworskie, bo staw Posmyka zarastał gęsto łożyną i tatarak wrośnięte zimną w sinawą szybę lodu. Ale wiosną pastuch pojawił się znów. Śladywał jak zwykle przy upuście, patrząc na nasze koedukacyjne kąpiele, na które często utyskiwał wikary, świętoszek o jastrzębiej twarzy i twardej dloni. Jakos w połowie lipca wracaliśmy całą grupą z kąpeli. Droga

krowy pasły się spokojnie. Dołatywał do nas miarowy, usypiający chrząst skubanej trawy.

Parę dni później przywlokła się do prania kulawa Krakowiaczka. Cały dzień kiwała się nad dymiącą balia, a wieczorem przy kolacji uroczystie orzekła koniec Macikowej służby u Grackiego. Powody były niejasne, dość że Maciek został wyrzucony z zagrody wraz z kraciastą pierzyną i lataną kurtką.

Na drugi dzień o zmroku łazilem po ogrodzie, macając w trawie opadłe jabłka. Mrok stał dość gęsty, a jednak wyraźnie rozpoznałem sylwetkę siedzącego za płotem człowieka. Podszedłem bliżej. Pastuch siedział na swojej pierzynie wsparty plecami o wysokie sztachety ogrodzenia. Ciemna, rozdudła głowę trzymał na kolanach. Rozejrzałem się niespokojnie i bezradnie. Od strony stawu dobiegało melodyjne kumkanie żab. Poza drogą wisiały na czerniejącym niebie korony drzew cmentarnych.



Rys. J. SIENKIEWICZ

wiodła tym razem obok zabudowań Grackiego. Przy otwartej bramie stanęliśmy jak wrzcy. Stary Gracki spokojnie i metodycznie okładał Maciaka gętkim biczykiem, podtrzymując lewą ręką zwisającą z ramion kurtkę. Z łąki wyszła żona Grackiego, chlusnęła pomysłami i znikła w mrocznej sieni. Pastuch stał osłaniając głowę rękami. Ciosy padały ze świadomym na te skrzyżowane ramiona, na kark i plecy okryte brudną koszulą.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć, a nazajutrz nad stawem leżeliśmy osowiali i niemrawi. Maciek tkwił pod krzakiem na środku łąki,

Chciałem zawołać na siedzącego, podejść bliżej, ale nie mogłem zrobić kroku, głos utknął mi w krtani. Po chwili ktoś mnie zawołał od strony szopy, odszedłem wolno. Po tygodniu Fońka przyniósł ostatnią wiadomość o Maciu. Znalazł go martwego w lesie piekarskim gajowicy Paprocki. Zawiadomił policję. Pojechali na rowerach Sobański i Matys. Znaleźli Maciaka w niewielkim wgłębieniu, twarzą do ziemi. Leżał bosy na kraciastej pierzynie w chmurze zielonych much. Zagłębienie osłaniały wysokie, smukłe jałowce, mające w sobie coś z melancholii i zadumy cyprysów.

Kalman Segal

Staruszek z Tybetu

W niektórych okolicach Tybetu istnieje zwyczaj, że gdy stary człowiek znajduje się w stanie agonijnym, syn — prawdopodobnie syn pierworodny — usadawia go przed sobą na koniu i pędzi w miejsce dzikie i przepaściste, do pieczar lub na szczyt skały, tam gdzie czatują stada ogromnych ptaków skalnych o drapieżnych dziobach i potężnych szponach. Konającego starszego pana syn pozostawia w zaroślach, stado wygłodniałych sępów rzuca się na jeszcze żywą ofiarę. Po kilku, może po kilkunastu minutach starszy pan już nie żyje. Po kilku godzinach pozostanie z niego tylko drapieżnych dziobach i potężnych szponach. Konającego starszego pana syn pozostawia w zaroślach, stado wygłodniałych sępów rzuca się na jeszcze żywą ofiarę. Po kilku, może po kilkunastu minutach starszy pan już nie żyje. Po kilku godzinach pozostanie z niego tylko drapieżnych dziobach i potężnych szponach.

Tradycja tybetańska jest okrutna wobec starych ludzi. Tak jakby mało było okrucieństwa natury, okrucieństwa i tragizmu wynikającego z samego faktu starzenia się, wiednięcia, umierania. Tak jakby mało było tragizmu w owym bezsilnym buncie, w owym krzyku ludzkim, który protestuje, który u s i ł u je protestować przeciw niedorzecznemu absolutowi, od którego nie można uciec.

Starość — czym ona jest? Sumą doświadczeń życiowych czy okresem demencji, okresem otępienia umysłowego i niedołęstwa? Do najpiękniejszych, najbardziej

wstrząsających Psalmów Dawidowych należą te, w których dochodzi do głosu niepokój i lęk starzejącego się króla przed samotną starością. A więc problem niemal odwieczny: nadechodzi dzień, kiedy stary pan i stara pani przestają imponować swoim dzieciom i wnukom, nadechodzi dzień, w którym ktoś stwierdza, że stary pan zbyt dużo mówi, zbyt dużo ingeruje w sprawy domowe, niekiedy komuś zdaje się, że stary pan zbyt dużo je lub że zbyt głośno je i tak dalej. Bo stary pan istotnie nie jest już taki przystojny i szarmancki jak dawniej i nie jest już tak uroczy jak dawniej. Korzysta ze sztucznej szczęki, która niekiedy wpada do talerza z zupą. Starszy pan traci pamięć, a jaki wścibiś się zrobił, a uparty jaki... No, tak. Prawie niepostrzeżenie matka przemieniła się w babkę, dzieci poszły w górę, zdobyły wiedzę, stawać i może pieniądze. A matka w dalszym ciągu mówi nieliteracką polszczyzną z robotniczego przedmieścia lub szorstką polszczyzną wiejską. Sym jest intelektualista, a matka w dalszym ciągu ma trudności z sylabizowaniem. Biedna matka, prosta wiejska kobieta wielu rzeczy już nigdy nie zrozumie. Ale co tu jest do zrozumienia? To takie proste: w synu ginie instynkt rodzinny, ten instynkt, który zazwyczaj nakazuje kochać i szanować rodziców.

Więc co zrobić ze starym człowie-

Nie wiem, czy pisarz amerykański, John Steinbeck, laureat Nagrody Nobla, posiada liczną rodzinę. W każdym razie troje dorosłych ludzi: ojciec, żona i ich pełnoletni syn znaleźli się w Wietnamie. Syn jest żołnierzem, ojciec przybył do Wietnamu jako korespondent gazety nowojorskiej „Newsday”, obydwoj znajdują się na pierwszej linii ognia, a pani Elaine Steinbeck, żona i matka, zatrzymała się w Sajgonie, w hotelu, gdzie najpewniej jej nie zbywa na wygodach.

Wieżniaczkę wietnamską pragnęłyby pozostać w swych wiejskich chatkach, zarówno te, które mieszkają w Wietnamie północnym, jak i te, które mieszkają w południowej części tego podzielonego kraju. Tutaj toczyła

St. Wygodzki

Steinbeck w Wietnamie

się jednak podjazdowa, partyzancka wojna przeciwko władcom, którzy godzili się na okupowanie kraju przez obcą potęgę. Nawet amerykańscy znawcy problemu wietnamskiego, twierdząc, że ruchu wyzwolitego, który ogarnia całą południową część kraju, nie można identyfikować z rewolucyjną władzą, pełniącą swoje obowiązki w Wietnamie północnym, bombardowanym od kilku miesięcy z zacieklnością wzrastającą z każdym dniem.

Władcy południowego Wietnamu są miłe widziani przez panie, mieszkające wygodnie w hotelu w Sajgonie. Przypomina im on ich własny wygodny dom oraz urzędzenia dostępne zamożnym ludziom pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Wieszniacy wietnamscy, zarówno ci na północy, jak i na południu, wygody i dobrobyt upatrywali w zbiorach dostarczających im wyżywienia. Byli i są wśród nich tacy, którzy poza chlebem pragną jeszcze wolności. Na drodze do niej stanął pisarz John Steinbeck.

John Steinbeck już był kiedyś korespondentem wojennym, wszedł na teren Europy z armią amerykańską i ujrzał mnóstwo zjawisk nieznanych na lądzie amerykańskim. Ujrzał spalone miasta, zburzone domy, szpitale, szkoły, świątynie, ujrzał ludzi bezdomnych i głodnych. Nie jest wykluczone, że natknął się również na grupkę byłych więźniów, których chłopcy amerykańscy uwolnili z obozów koncentracyjnych, tak licznych wówczas na obszarach okupowanych przez hitlerowców. Dopuszczam myśl,

że spotkał również pisarzy. Pisarz z karabinem w ręce należał do wolnościowej tradycji Europy lat trzydziestych, kiedy faszystyci chcieli zdławić republikę hiszpańską. Nie była to republika komunistyczna, wśród walczących w jej obronie znaleźli się socjaliści, republikanie, anarchiści, katolicy, komuniści — górniczy, hutniczy, intelektualni, również pisarze. Od roku 1939 pisarze polscy, francuscy, włoscy, jugosłowiańscy, radzieccy, również antyfaszystowski pisarz niemiecki bili się na wszystkich frontach Europy. Pisarz z karabinem w ręce nie wywołuje naszego oburzenia, albowiem pisarz powinien być się o wolność narodów.

Gdybym napisał, że John Steinbeck bije się o wolność narodu amerykań-

skiego, naraziłbym się na śmieszność: jeśli napiszę, że występuje przeciwko narodowi wietnamskiemu — powiem prawdę. Mówi on o sobie, że był to „wzniosły moment”, kiedy strzelał ze sprężonych karabinów maszynowych do partyzantów — chłopów wietnamskich. Wtedy pani Elaine siedziała w hotelu w Sajgonie. Nie była spokojna, nie przypisując jej objętności, los męża i syna ogromnie ją niepokoi, ponieważ przebywają na pierwszej linii ognia. Nie pomyślała zapewne o kobietach, o Wietnamczykach i ich synach, którzy przebywają na pierwszej linii ognia, przebiegającej przez ich chatę i ich pole ryżowe.

Pierwsza linia ognia. Jest ona wszędzie, biegnie również przez hotel w Sajgonie, bowiem John Steinbeck nie przebywa na żadnym froncie. To trzeba sobie wyjaśnić. John Steinbeck uczestniczy w krwawej wyprawie najpotężniejszego kapitalistycznego mocarstwa, które rzuciło olbrzymie siły przeciwko chłopom wietnamskim: ich pojęcie o wygodzie mieści się w czterech ścianach chaty krytej słomą, ale poprzez dzunglę wypatrują blasku wolności. John Steinbeck nie uczestniczy w wojnie, pisarz amerykański uczestniczy w zabójstwie dokonywanym od lat przez silnych na słabych, przez potężnych na ludziach, uzbrojonych prymitywnie, bezbronnych niemal i głodnych. Jest to wyprawa sytych przeciwko głodnym, którzy mają się znaleźć na dnie egzystencji. W takiej akcji uczestniczy John Steinbeck.

Tegoroczne przekłady literatury polskiej w CSRS

W roku ub. ukazało się w CSRS 65 przekładów z literatury polskiej. 38 książek reprezentowało beletrystykę, a 27 — publikacje naukowe, głównie z zakresu ekonomii i socjologii. W CSRS 73 tłumaczy zajmują się przekładami z języka polskiego na czeski i słowacki.

W planach wydawniczych naszego południowego sąsiada na ten rok znajduje się łącznie 50 pozycji polskiej literatury pięknej i naukowej, które ukażą się w przekładach na język czeski i słowacki. Liczba ta powinna wzrosnąć, niektóre bowiem tytuły przygotowywane na 1968 r. mogą być wydane już w br.

Wydawnictwa czeskie zapowiadają m. in. Andrzejewskiego „Idzie skacząc po górach”, Brandysa „Listy do pani Z.”, Dygata „Disneyland”, Gerharda „Zoolityka”, Iwaszkiewicza „Siawa i chwala”.

kiem, który może istotnie jest trochę trudny we współżyciu? Wywieść go na koniu do pieczar, sępom na pożarcie? Przepisy sanitarne nie pozwalają.

Spróbujemy dotrzeć do Opieki Społecznej, mamy wprawdzie ładne i może nawet dość duże mieszkanie, może nawet wille za miastem, ale ten stary człowiek razi nasze oko. Odstąpimy go Opiece Społecznej.

Opieka Społeczna to opieka państwa. Opiekunowie społeczni, pracownicy wydziałów zdrowia w wiejskich i wojewódzkich radach narodowych. Ludzie, którzy realizują humanitarną zasadę, iż w państwie socjalistycznym nie ma bezdomnych, nie ma chorych bez opieki, nie ma głodnych, których byśmy nie nakarmili.

Starszego pana odwieziemy do jednego z domów, gdzie znajdzie łóżko, lekarza, czystą koszulę, pielęgniarkę. Będzie go utrzymywał zakład państwowy, skoro nie chcą tego uczynić dzieci. Czy dużo jest takich wypadków? Czy dużo jest dzieci o nieczułych sercach? Nie, Na szczęście niedużo.

Ale dużo jest starszych panów i starszych pań, chorych i zupełnie niedołężnych, wymagających nie dorywczej, ale stałej opieki pielęgniarskiej — i często nawet najlepszy syn nie jest w stanie zapewnić choremu ojcu takich wygód, jakimi dysponują domy państwowe dla starych i chorych ludzi.

Niekiedy rodzinie starszego pana prowadzi się nieszczególnie, czasem jego kochające dzieci mają trudne życie i skomplikowane, czasem wplacze się jakiś dramat psychologiczny, dzieci starszego pana są nieszczęśliwe, a nieszczęśliwi ludzie nie

grzeszą cierpliwością ani dobrocią. Starszy pan dojrzał już do przeprowadzki, która jest przykra, ale nieunikniona. W domu dla starców może odetchnąć z ulgą. Może nie będzie miał zbyt wielkiego żalu do swoich dzieci — gdy ktoś będzie o nich mówił źle, on stanie w ich obronie, ponieważ to są jego dzieci, złe dzieci także kochamy. Może zresztą nie są złe, może właśnie on sam, właśnie starszy pan jest... powiedzmy: trochę trudny we współżyciu.

Nie oskarżamy, nie obwiniamy. Nikt nie jest zły. To po prostu biologiczna tragedia naszego gatunku. Życie jest piękne, ale system biologiczny nie jest doskonały. Goethe już o tym wiedział, Faust o tym wiedział: nie można zatrzymać zegarów, kalendarzy nie można cofnąć.

Pójdziemy ze starszym panem do zakładu. O ile będzie dla niego wolne miejsce, bo tych wolnych miejsc jeszcze trochę brakuje. Powiedzmy dokładniej: przysto podopiecznych przewyższa wzrost liczby nowych miejsc w zakładach? Co to znaczy? O jakim przyroście mowa? Jak to jest dzieje, że przybywa nam starców jak grzybów po deszczu? Oto odpowiedź: przeciętny wiek człowieka w 1931 roku wynosił około 50 lat. W 1961 roku ta przeciętna podniosła się do 67 lat. A zatem żyjemy obecnie dłużej przeciętnie o 17 lat, a to dzięki lepszym, bardziej higienicznym warunkom życia, odżywiania się i tak dalej.

Istnieją kraje — skądinąd o wysokim standardzie technicznym i cywilizacyjnym, w których pewna kategoria chorób nie podpada pod

Jeszcze w sprawie „wojny domowej i ptaszków”

Sam tytuł artykułu red. Krystyny Świerczewskiej jest aż nadto fascynujący. Świadczy także o oryginalnej koncepcji ujęcia treści. Słowo zaś „ptaszki” zawiera cały sens niefortunnie ujętego uświadomienia młodzieży. Przepuszczam, że i autorka sama użyła je jako ośmielszającego środka do tak ważnego zagadnienia, jakim jest rozwój człowieka.

Jednak zauważyłam w artykule omijanie pewnych urodzonych a-tawistycznych skłonności dziecięcych, skłonności odziedziczonych. Boć przecież nie możemy negować, że pomimo tych samych warunków socjologicznych i kulturalnych — rodzą się dzieci różniące się pod względem zdolności, poczucia moralnego i temperamentu. Jaką metodę zastosować do tych dzieci?

Karać ich nie można — wszak za przodków swych nie ponoszą żadnych przestępstw. Otoczyć je miłością — a gdy ta zawiedzie (ponieważ i to zjawisko może zaistnieć), co dalej czynić?

Nie możemy jednak przeoczyć wad dziedzicznych. Nie możemy nie zauważyć, czy przechodzi obojętnie obok warcholstwa, które jest omiarem zjawisk zakazów. Ono bowiem stanowi ciężką zaporę w pracy wychowawczej i podobne zjawisko należy niszczyć z całą konsekwencją, ocenając je jako wielką wadę.

Polak w masie, na ogół stara się omijać nakazy, czyniąc to niejednokrotnie niemal z zadowoleniem, nie uważając przy tym za jakąkolwiek przeszkodę w realizowaniu powszechnego dobra. Obserwując dziecko czy też młodzież, widzimy czasem ten sam żywioł, nie znoszący żadnych ograniczeń, żadnych zakazów, żadnych kanonów. I to są te najcięższe przeszkody, bo płynące z naśladowictwa.

Wiemy, że instynkty walki nieszlachetnej możemy sublimować na przykład grą w piłkę nożną i inne zabawy, spalające nadmiar siły vitalnej — stosujemy je więc zawsze. Poza tym pamiętamy, że być może Polacy unikniby wielu błędów w historii, gdyby byli zdyscyplinowani.

Nie zapomniamy przeto o karności, która, według mego osądu, stanowi podstawę przygotowawczą całego wieka do wykonania najtrudniejszych zamierzeń życiowych. Jej brak oraz trudności w masowym upajaniu jej społeczeństwu, trudności we wdrażaniu go do moralnych zakazów i nakazów — już nieraz pokazała historia. Uczymy się więc tej historii; studiuujemy ponadto psychologię i z nich czerpiemy doświadczenie współczesnego wychowawcy młodzieży. Na przykładach naukowo stwierdzonych obrzydzały jej niekarności, nieposłuszeństwa i warcholstwo społeczne.

MARTA GRABOWIECKA
NAUCZYCIELKA Z DĘBICY

lecznictwo społeczne, do tych chorób należą między innymi tak zwane choroby starców. W innych krajach, na przykład w Stanach Zjednoczonych, gdzie istnieje system ubezpieczeń prywatnych, czas pobytu w szpitalu lub innym zakładzie leczniczym jest ograniczony do trzech tygodni. Oczywiście, nie dotyczy to kuracji opłacanych prywatnie przez pacjenta.

A więc problem starszego pana, wymagającego leczenia szpitalnego i długotrwałego nie jest łatwy w wielu krajach świata, nie tylko w Turcji.

Ośmielę się jednak, na stwierdzenie, że u a s z starszy pan ma mniej powodów do niezadowolenia. Nasz starszy pan cieszy się sympatią i opiekuną troską całego systemu państwowego. Starszy pan, który przeżywa swoją starość w samotności, ponieważ nie znajduje wspólnego języka z najbliższą rodziną, a także ten, który w właściwym czasie nie zatrudził się o to, by mieć żonę i dzieci — dziś chętnie udaje się do domu Opieki Społecznej. Jeżeli ten dom jest prowadzony przez ludzi o wielkim sercu, starszy pan znajduje tam ciepłą, wyrozumiałą atmosferę, kwiaty na stole, a nawet uśmiech na dzień dobry.

Starsza pani, starszy pan. Wokół domu jest opróżniony, wokół domu są rabaty w słońcu i ławeczki. Usiądziemy? Trochę wspomnień rozprzeważających serce, odmiadających duszę. Życie jest dobre. Ludzie są dobrzy. Bądźmy dla nich wyrozumiali. Bądźmy dla nas wyrozumiali. Nie wszyscy starsi państwo przechodzą do tego domu dla emerytury. Niektórzy żyją samotnie w wujach

SPOTKANIE

(Ciąg dalszy ze str. 2)

ginał ktoś z naszej grupy. W niespełna trzy tygodnie zmarł Seweryn Udziała, po nim wykończali się inni. Po około 4 miesiącach pozostało nas z tej czterdziestki ośmiu.

Nadmienić należy, że w początkowym okresie istnienia obozu, kiedy to panował w nim najbardziej morderczy i nieludzki reżim — pierwsze dni i tygodnie stanowiły niejako próbę wytrzymałości psychofizycznej więźnia. Ona ujawniała, czy posiada się warunki osobiste na przetrzymanie obozowego piekła. Sprawdzało się to i na naszej grupie, bo ta wspomniana ósemka trzymała się przy życiu pełne dwa lata, zdekompletowana dopiero późnym latem 1943 r., kiedy zmarł nasz sympatyczny kolega, dzielną druż. Kazio Jarecki.

Tak się jakoś w naszej grupie składało, że ci, którzy zalamali się na przesłuchaniach — szybko kończyli się w obozie. Nie chcę tłumaczyć tego przyczynami, ale czyżby to było przejawem jakiejś logiki losu, że ci co wytrzymali tortury przesłuchań nie przynajmniej się do niczego — przeżyli obóz? Pytanie to pozostaje ciągle otwarte. Może odpowiedzą na nie psychologowie. Sądzę, że byłoby wdzięcznym polem dla psychologów wzięć na badawcy warszawski wspomniane zjawisko o wyraźnym przeciwieństwie psychologicznym میانowniku.

Niech mi wolno będzie wymienić tych z grupy, którzy przeżyli obozowe inferno i doczekali w r. 1945 wolności: Tadeusz Wasowicz — po wojnie pierwszy dyrektor Muzeum

w Oświęcimiu; zmarł na tym postępowaniu w r. 1953. Władysław Lutecki, dyrektor poczty w Rzeszowie, Tadeusz Szymański, kustosz Muzeum w Oświęcimiu, Józef Kret, dyrektor Uniwersytetu Ludowego.

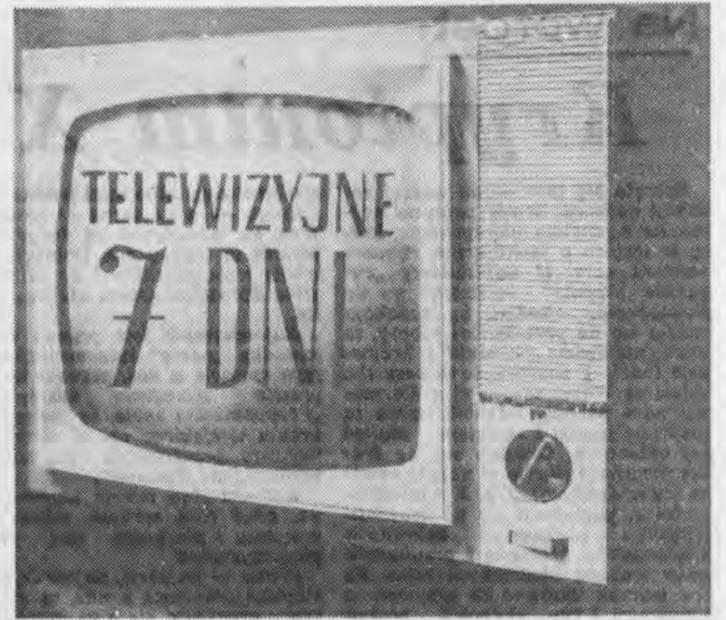
*

Tej resztki szaro-szeregowych nie-dobitków wydawało się dziwne, że o poczynaniach tajnego harcerstwa na Rzeszowszczyźnie, o jego patriotycznym zrywie do walki z barbarzyńskim najeźdźcą, o ofierze złożonej z młodego życia wielu druhów — rzeszowskie harcerstwo nigdy nie wspominało. Nie wiedziało, czy wiedzieć nie chciało?

Pierwszy wyłom, obok sesji w Łańcucie, w tej niewiedzy uczyniła dopiero teraz Rozgłosnia Polskiego Radia w Rzeszowie przeprowadzając krótki wywiad z Wł. Luteckim.

Niechby też i te moje fragmentaryczne wspomnienia przyczyniły się choć w skromnej mierze do uchronienia od niepamięci tego, co ze wszystkich miar na pamięć zasługuje. Będzie to może również zachętą dla innych, by opowiadali o ruchu oporu antyhitlerowskiego, który bez względu na wielkie ofiary działał nieustannie przez cały ciąg okupacji na Rzeszowszczyźnie. Bo gdy jedni ginęli, tępieni przez okrutnego okupanta, inni kontynuowali walkę. Trzeba zatem popieszczyć ratować z pamięci żyjących, co jest jeszcze do uratowania. Trzeba — póki czas — dać świadectwo prawdzie, że ziemia rzeszowska ma swoją piękną kartę tej walki i może być dumna z udziału w tępieniu wroga, zakończonym zwycięstwem.

JOZEF KRET



Piszę te „7 dni” w bardzo uroczystym dniu, bo Dniu Kobiet i właściwie narzuca mi on temat zdecydowanie jasno. Bo to i polska kobieta ograbia dziś dzięki płci oraz zasługom oranżerie, i polska kobieta zastanawia się nad podnoszeniem kwalifikacji, i przy okazji święta polskiej kobiety mówi się o polskim dziecku, o polskim mężu, o polskim problemie równouprawnienia — o wielu polskich i bardzo ważnych sprawach. Asumpt od tych przemysłań dał program polskiej TV w Miesięczniku Konsumenta „Próby”, nadany w wigilię święta, no i jak zwykle zawsze aktualni oraz nie przegapijący żadnych świąt „Jacek i Agatka” Anny Chodorowskiej — bardzo zdolnej kobiety, dodajmy.

Gospodarzyła nam w „Próbach” z wielkim wdziękiem Ewa Nagórka, rozmawiając z trzema łódzkimi laureatkami konkursu na najciekawszą kobietę. Były to pani doktor oraz dwie panie inżynier — kobiety co się zowie czynne, tkwiące w środku problemów kobiecych, włączone do społecznego życia bynajmniej nie na zasadzie żon i matek zaleudwie, ale kierowniczek konkretnego odcinka pracy zawodowej. I jeśliśmy zestawili bodaj ich zawody ze sobą przez porównanie — jakże staroświecko zabrzmiały kwestie o braku równouprawnienia, o niedostatecznym docenianiu dziś kobiecej umysłowości na płaszczyźnie zawodowej! To wszystko należy bardziej do historii równouprawnień, aniżeli do problemów dnia dzisiejszego; problemów żywydu, nurtujących społeczeństwo.

Kiedysmy jednak odeszli od spraw zawodu i przesuńmy swoje zainteresowania na teren obyczajowy, na równouprawnienie w domu — rzecz natchmiast nabrała rumieńców współczesności i... zacofania. Wkroczył do niej mężczyzna jako pleć i jako mąż. I co się okazało? Że pleć nas dopełniająca bardzo cięży sukcesy zawodowe żony, ale zupełnie nie bawią roboty domowe; że pleć dopełniająca nie wie co to pranie, choć brudzi się gorzej od siedmiolatka i nosi koszulki, wymagające czasu na prasowanie co najmniej tyle, ile pochłonie wyprodukowanie kilku żelazek systemem taśmowym; że pleć dopełniająca po pracy uznaje telewizor i spanie jako jedyną sensowną zajęcia domowe; że fraterka, rondel, zakupy — to czarna magia, której misterium odprawia żona, a smakowity efekt odbiera mąż; słowem, że w dziedzinie obyczaju nihil novi albo bardzo mało nowego, co z pełną satysfakcją tu podkreślam. Dodajmy — gorzką satysfakcją. Jakże by bowiem było miło napisać ten felieton, przyjdź do domu albo pójdź poza dom, wiedząc, że ktoś tam odprawi czarne magię, często brudne magię, że ktoś tam

zadysponuje obiadem, ubierze sensownie małolatka, odrobi z nim lekcje, kupi kartofle i kwiatek, upierze nylony, uprasuje żabot do sukienki, przyszyje guzik, zmieni bieliznę poscielową, wyczyści lustro, uczesze psa, zlikwiduje zatarg z mleczarką — uwolni od tych nonsensownie czas pochłaniających zajęć, w jakich tonie po ufrizonowaną głowę polska kobieta i jakich, co już jej przekleństwem płci znowu, nikt nie chce zauważyć, docenić i przyjąć za pewnik, że równają się dwom pracom zawodowym, względnie jednej pracy i kilku pólstatom, którymi tak kleją w oczach mężowie pracujący niemal każdego polskiego domu.

Jest to święto kobiet umieszczonych w czasie najbardziej mu sprzyjającym: wiosna, zorkiła, słońce. Otrząsamy się jak misie po śnie zimowym, zrzucając nadwagę, myślimy o bucie od Diora; daje się nam szansę myśleć o sobie, tylko o sobie, jeszcze raz o sobie. Myśleć zielono, różowo, młodzieńczo.

We wtorkowym programie siedziały trzy zadbane kobiety, zadbane mam nadzieję nie tylko na tę telewizyjną okazję i rzecz znamieną „kobieta” — myślały „matka”. Wychodził zaa wiosennej fryzury raz syn, raz córka — polskie dziecko — kochane, niesforne, czas pożerające, myśli zaprzatające. Mówiło się o jego żywieniu, trawieniu, uczeniu, bawieniu, wychowaniu z pasją tylko kobiecie właściwą, z wyłączeniem kobiecej tajemnej wiedzy, kobiecej intuicji, z kobiecym bezprzekładnym zaangażowaniem. I żaden z panów nie zaprotestował gwoli psychologicznego odprężenia, że w czerwcu czeka nas Dzień Matki, bo wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie ma takiego dnia w roku, kiedy dojrzała kobieta nie byłaby matką, nawet stosując wzór Einsteina do najnowszych osiągnięć zawodowych. Dlatego ślicznie mi się zdaly te wywiady przedświąteczne z małolatkami oraz ilustrowanie rysunkami dzieci „dowcipnych” wyznań mężowskich o niekompetencjach kulinarno-domowych, w jakiś sposób niezamierzony ustawiające prace kobiety w ogóle na nieco wyższej płaszczyźnie styku dwóch płci.

I kiedy potem z bestroską wrodzoną panom, dostaliśmy w Dzienniku felieton o malarstwach nagosił ciach pań najpiękniejszych — różowego Renoira i szarpającego psychikę Goye przyrównał ciągle o brzech mami o wielkich ustach, przybranej w kraciastą spódnicę, rysowany przez przedszkołaka oraz wyznany teoz: „Ja nie będę mił żony — ja zawsze z mamą”.

Na zakończenie zaś, skoro już mowa o kobietach, prywatnie przypomnę, że i w telewizji ich nie brak, że obcuje sobie na co dzień z Edytą Wojtczak oraz plejadą spikerek i lekterek, z najmilszą panią Hanną Dobrowolską, która nas wodzi po dzikich chaszczach i zapoznaje z równie dziką fauną, Ireną Dziedzic — imponującą czarownymi urokami pięknej kobiety, Zofią Raciborską — jejkującą z bezprzykładnym talentem, Stefaną Grodzienką, która nie każe regulować odbiorników i pierwszą gwiazdą telewizyjnego teatru Aleksandrą Słaską, co w ostatnim tygodniu w „Martwej królowej” rozspala przed nami perły swego talentu. Nie sposób je wszystkie wymienić, choć nie sposób także bodaj o tych paru nie wspomnieć i nie zauważyć: telewizja kobiet stoi! I to jaką, panowie...

Krystyna



Jan Gerhardt: NIECIERPILI DSC. MON 1967, s. 466, cena: półno 26, broszura 30 złotych.

Autor „Łun w Bieszczadach” akcją swojej powieści umiarkował w Paryżu, a jej treścią jest życie w dniu powszednim. Tem są ulice, mieszkania, spelunki, różne przedziwne miejsca.

Jack London: MARTIN EDEN. Przel. Z. Glinka, Iskry 1967, s. 410, cena 25 zł. Popularne, w 89-tysięcznym nakładzie wydanie znanej polskim czytelnikom powieści autora utworów o życiu ludzi Północy, o silnych ludziach. Po tę autobiograficzną powieść sięgną wszyscy miłośnicy dobrej literatury.

W POGONI ZA WĘŻEM MORSKIM. Iskry 1967, s. 245, cena 14 zł.

W serii „Fantastyka, przystępna” 10 opowiadań fantastycznych, w których otwiera się przed czytelnikiem niesamowity, pełen przyszość świat. Mroźna w nim spotkać się z wężem morskim, można doznać niesamowitych przeżyć.

Zofia Sieszczyńska: BRACIA. Iskry 1967, s. 196, cena 8 zł.

W „Bibliotece Niezapomnianych” książka poświęcona trzem braciom Lipskim: Lud-

wikowi, Leonowi i Antoniemu oraz ich matce Franusze. Wszyscy trzej bracia byli działaczami rewolucyjnymi w okresie Polski sanacyjnej. Ciekawy przyczynek do dzieł KP i KZMP.

CZY POLACY MOGĄ WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ. MON 1967, s. 147, cena 12 zł. Do druku przygotował i wstępem opatrzył E. Halicz.

Dzieło, którego prawdopodobnie inspiратorem był Tadeusz Kościuszko, a autorem Józef Pawlikowski głosiło było w okresie powstań narodowych. Jest to bibliofilskie wydanie.

Konstanty Simonow: KAŻDY DZIEŃ JEST DŁUGI. Przel. J. Dędarowska. Kłw 1966, s. 124, cena 10 zł.

Może jeszcze będzie można dostać w księgarni tę książkę. Jest ona szalenie ciekawa, szczególnie dla miłośników talentu tego pisarza, znajdujemy bowiem na jej kartach opisy faktów, które przetworzone stały się w twórczym powieści: „W okopach Stalingradu”, „Żywi i martwi” itp.

Ernest Baldwin: BIOCHEMIA DYNAMICZNA. Przel. z ang. K. Raczyńska-Bojanowska. PWRiL 1966, s. 296, cena 55 złotych.

Nakład pierwszego wydania i dodruku zniknął szybko z księgarń. I temu też (drugiemu wydaniu) nie przewiduje zbyt długiego przebywania na półkach. Część I mówi o enzymach, a II o metabolizmie. Jedna i druga podana bardzo przystępnie, ale bynajmniej nie kosztem wiedzy.

Weronika Kumko, Jadwiga Gąderska: INTENSYWNA GOSPODARKA W PARSIE. Wyd. II popr. i uzup. PWRiL 1966, s. 152, cena 12 zł.

M. in. o pracach poszczególnych w ciągu roku, sprawach wychowu matek, wędrowności z pszczołami.

J. A. V. Butier: ŻYCIE KOMÓREK. Z ang. przel. W. Filipowicz. PWN 1967, s. 237, cena 27 zł.

Książka informuje o osiągnięciach biologii molekularnej, omawia budowę, funkcję i syntezę białek i kwasów nukleinowych, najistotniejszych składników komórek, stanowiących o życiu. Również o początku i rozwoju życia.

OD ATOMU DO CZĄSTEK. Przel. z ros. A. Janowski. PWN 1967, s. 355, cena 35 zł. Również „Biblioteka Problemów”.

Wybór problemów stanowiących próbę popularyzacji niektórych problemów współczesnej chemii i biochemii.

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

St. Ch. — Brzozów: Wiersze nie nadają się do druku. To tylko rozmówki i przypiewki bez wartości poetyckich.

J. F. — Rzeszów: Nie drukujemy wierszyków dzieci. Może skorzysta z nich „Świerczyk”? Również nie podejmujemy się oceny utworów uczniów szkół podstawowych.

J. B. — Gierzdów pow. Leżajsk: Nadesłane nam „poesje” są okropne i żadne wskazówki niestety tu nie pomogą. W wierszu „Twoje święto”, pisze pan: „Ale mężczyzna ten dzień dokładnie datuje, dla miłej, pięknej, ukochanej prezencik kupuje. Podarunki to dla niej niespodzianka, ona sama się dowiedzieć jakiego ma

kochocka”... Czy wypada tak niedoświadczonymi rymami obrzydzać kobietom ich święto?

K. P.: Nie skorzystamy. Zupełnie nie rozumiemy jaki związek miał bocian z pańską ukochaną w wierszu „Bociany”. Lepiej sobie dać spokój z pisaniem.

A. Cz. — Przeworsk: Wiersz interesujący i świeży, choć trochę za mało skondensowany. Warto kontynuować próby. Prosimy o utrzymywanie z nami kontaktu.

F. C. — Rzeszów: Oceniamy krótko: wiersz jest nijaki, bez wyrazu i dość nieporadny.

F. C. — Przemyśl: Podtrzymujemy wcześniejszą naszą opinię. W Pań utworach są zadatki na niezłą lirykę. „Gałąź zachwyty, białe ptaki chmur, pękaty kłos żalu, dni jak kosmyk słońca”... to ładne i poetyckie określenia. Ale jeszcze trzeba popracować.

Na wprost

Kryptonim X

Zaczęło się tak: — do naszej redakcji nadszedł utwór poetycki czytelnika z powiatu ustrzyckiego, który w srogich a utykających rymach zarzucił nam, iż napisaliśmy „cygańską głupotę” zaliczając go do chuliganów. Radził, by redakcja wzięła się do prawdziwej roboty, to wtedy nie będzie „chrzanić” i krzywdzić ludzi, i zagroził, że to wszystko zgłosi do Warszawy, to ci z Warszawy nam pokażą. Zdziwiła mnie ta osobliwa poezja i zaczęłam szukać jej natchnień. Okazało się, że źródło inspiracji tkwiło w naszej notatce stwierdzającej: „Ob. X z miejscowości J. popisywał się na zebraniu wiejskim obrzucając zebranych mieszkańców gromady i przybyłych gości stekiem obelżywych słów. Za ten występ ukarano go grzywną w wysokości 3 tys. złotych”. Można byłoby sądzić, że nie tu nowego — działa prawidłowo zasada uderz w stół... gdyby nie następny list do redakcji, w którym, w obronie ob. X stanęła jego sąsiadka pisząca o sobie, iż jest długoletnim członkiem partii i była przez 8 lat soltysiem. Zdziwiło ją, że sąsiad został zaliczony do chuliganów, gdyż wódki ani nawet piwa nie pije. Na to zebranie, o którym gazeta pisze, żaden goście nie przybył i prowadził je soltys. Zresztą — pisze dalej — gdy w 1965 roku u nas motocyklista najeżdżał na człowieka i zabił go, a później otrzymał za to tylko 6 miesięcy więzienia, to w gazetach nie pisano, a o takich drobniaczkach się pisze...”

Mimo osobliwej argumentacji tego listu zaczęliśmy się obawiać, że coś tu nie gra. Może rozżalony „poeta” miał rację? Może stała się przyczyna ludowemu pieśniarzowi gniewu i satyry? Zaczęliśmy szukać z kolei źródła naszej notatki i wkrótce pojawił się dokument nr 3 sprawy ob. X: informacja Wydziału Spraw Wewnętrznych Prez. PRN w Ustrzykach Dolnych z działalności Kolegium Karno-Administracyjnego. W niej m. in. czytamy: „Ekstra typem chuligana jest ob. X z miejscowości J. ...nie dopuszczał do zebranych wiejskich i rozbijał je obsypując stekiem obelżywych słów i przedstawiciele władzy i tamtejszych rolników. Również na rozprawie i w prokuraturze awanturował się obrzucając obelgami obecnych i członków kolegium”.

A więc nie ma krzywdy. Nie zastępuje nam w oszczędności tym bardziej i nam przecież wygrał, że nas wyrzucił z pracy, sugerował, że jesteśmy skumotrzeni z władzami powiatowymi z Ustrzyk, że jesteśmy „nieuczeni” i mnóstwo innych nieładnych rzeczy. By jednak być w porządku z naszymi sumieniami i rozwinąć wszelkie wątpliwości wysłaliśmy całą sprawę do gruntownego zbadania przez Urząd Spraw Wewnętrznych Prez. WRN w Rzeszowie i dzięki temu otrzymaliśmy sprawę pod „kryptonimem X”, dokument nr 4.

I tu największej rewelacji. Dowiadujemy się, iż ob. X istotnie rozbil zebranie w świetlicy i ubliżył obecnym, a m. in. soltysowi i radnemu WRN. W miesiąc później, w gmachu Prokuratury Powiatowej w Ustrzykach obrzucił dwóch swoich sąsiadów „komplementami”: „bandyta, złodziej, chuligan, faszysta, wariat” itp.

W czasie rozprawy Kolegium Administracyjno — Orzekającego uprawdźnie przyniósł się do zarzucanego mu czynu, ale w czasie mowy oskarżyciela publicznego wszczął nową awanturę krzykując: „pocałujcie mnie w d... ja s... na wasz urząd, ja was wszystkich p... etc.”. Tenże pokrzykowany obywatel przez naszą notatkę w „Nowinach Rzeszowskich”, w czasie następnej rozprawy w Sądzie Powiatowym znieważał Sąd, zakłócił spokój i uniemożliwił prowadzenie rozprawy... No cóż

Malarze wspomagają nauczycieli

Otwarcie 51 z kolei szkolnej galerii plastyki w woj. bydgoskim zapoczątkowało nowy etap w rozwoju tej bardzo pozytywnej inicjatywy. Galeria, te mieszcząca się przy szkołach Tysiąclecia w miastach, miasteczkach i ośrodkach wiejskich województwa — zawierała dotąd przede wszystkim najlepsze prace pomorskich malarzy, grafik i rysowników. Nowo otwarta galeria gromadzi dzieła malarstwa światowego w przekroju historycznym. Władze szkolne Pomorza obiecują sobie wiele po tym przedsięwzięciu, które ma pomóc w realizacji 8-letniego programu nauczania, kładącego — jak wiadomo — szczególny nacisk na wychowanie plastyczne młodzieży.

sfrustrowany albo miał trudne dzieciństwo — a tu zaraz — chuligan. Więc się odwoływał od decyzji Kolegium w Ustrzykach Dolnych i do władz wojewódzkich i do Ministerstwa Sprawiedliwości, ale bez skutku.

Najciekawsze jest jednak to, że sąsiadka „poety” interweniuje w jego sprawie u nas, zeznała na rozprawie Kolegium następująco: „Przypominam sobie, że podczas zebrania wiejskiego ob. X wszczął awanturę przezywając uczestników wulgarnymi słowami”.

Wnioski stąd można wysnuć różne, gdyż cała sprawa, mimo swej brzydoty i płaskości jest wielopłaszczyznowa.

Primo — najgorzej, najbardziej zaślepieni pientacze u nas, to ci, którzy procesują się o uszczerbek na swym „honorze”. Są oni jak ludzie na bagnie — coraz mocniej szamotają się i rzucają, mimo iż każdy następny ruch głębiej ich pogrzeże. Ob. X broniąc się przed mianem awanturnika i chuligana wywołał 3 nowe karzeczne awantury rozpraszając wszelkie możliwe wątpliwości na ten temat.

Secundo: Jak właściwie nasze władze i urzędy mogą działać sprawnie i szybko, gdy w spór czy ob. X jest chuliganem, czy nie, zaangażował on dwukrotnie Kolegium K. A. przy Prez. WRN, Ministerstwo Sprawiedliwości a także redakcję „Nowej Wsi” i „Nowin Rzeszowskich”. Ileż to godzin a nawet dni pracy musiały tracić te wszystkie instytucje i urzędy, by stwierdzić, że ob. X nie ma racji. A przecież wiedział on sam o tym od pierwszego incydentu.

Tertio: Jak niewiele przeniknęło do świadomości przeciętnego obywatela, a nawet członków Kolegium K. A. z debat prawników nad uściśleniem definicji prawnej chuliganstwa, skoro pisze się w liście, iż nie może być zaliczony do chuliganów, ten, który nie pije wódki ani piwa, lub skoro w informacji z Kolegium K. A. mówi się, iż ob. X jest typem chuligana, gdyż wywołuje awantury na zebraniach, rozbija je i znieważa ludzi. Ani jedna, ani druga strona nie mają racji. Naszym zdaniem ob. X nie jest chuliganem, ale zwykłym warcholem, rozrabiaczem i awanturnikiem przynoszącym niepowetowane szkody społeczne. W naszej notatce nie użyliśmy zresztą tego określenia. To raczej postawa wynikająca z sarmackiej tradycji obyczajowej, a nie modna sylwetka wyalienowanego przez współczesną cywilizację osobnika.

Zgadamy się więc z twórcą gniewnych, acz koślawych rymów — nie jest chuliganem, ale żadna stąd pociecha. Nie lepsze są nasze sarmackie obyczaje, nie lepsze... Sprawa, o której piszę może nosić nazwę „kryptonim X”, gdyż mimo iż jest autentyczna, nie jest zjawiskiem jednostkowym. Pientaczy u nas, niestety, nie brak — nikt z nimi jeszcze nie wygrał, ale i oni odnozą pyrrusowe zwycięstwa.

JOTGIEL



RYSZARD ZATORSKI — członek zespołu „Meluzyna”
RYS. J. SIENKIEWICZ

Konkurs: Wieś rzeszowska w minionym 50-leciu

Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Stacja Naukowa PTH, Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego i Związek Nauczycielstwa Polskiego — Oddział w Przemyślu, ogłaszają konkurs pod hasłem: „Wieś rzeszowska w minionym 50-leciu”. Objętość prac nie powinna przekraczać 100 stron maszynopisu. Należy je składać w trzech egzemplarzach do dnia 31. 12. 1967 r. pod adresem: Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu, pl. Czackiego 3 z dopiskiem „Konkurs” i podaniem godła. Nazwisko i imię oraz adres autora winny się znajdować w osobnej kopercie.

Ustalono następujące nagrody: I — 5 000 zł, II — 3 000 zł, III — 2 000 zł i 5 wyróżnień po 1 tys. złotych. Dla nauczycieli, którzy wezmą udział w konkursie i wyróżnią się, ZNP przewiduje nagrody dodatkowe. Prace nagrodzone (od I do III) będą publikowane w Roczniku Przemyskim. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w 1968 roku. Skład jury zostanie podany w okresie późniejszym.

O dodatkowe informacje dotyczące konkursu prosimy doc. dra Franciszka Persowskiego — przewodniczącego zarządu TPN w Przemyślu.

— 25 rocznica powstania Polskiej Partii Robotniczej i 50 rocznica Rewolucji Październikowej, podobnie jak inne okazje, skłaniają nas do spojrzenia wstecz, przypomnienia tego, co minęło, do konfrontacji przeszłości z teraźniejszością. Poprzez ogłoszenie konkursu chcemy uchwycić przemiany, jakie zaszły na wsi rzeszowskiej w okresie od 1918 roku do chwili obecnej. Materiał zebrany tą drogą może być niemal źródłowy dla historyka, socjologa, etnografa.

Osoby, które podejmą trud udziału w konkursie, mogą nadsyłać opracowania o charakterze naukowym bądź też materiałowym. Wskazane byłoby poruszenie m. in. następujących zagadnień: nazwy (wsie, przysiółki, pola) i ich pochodzenie, udział mieszkańców w życiu historyczno-politycznym (wojna, partie i stronnictwa polityczne), gospodarzem (kółka rolnicze, drobny przemysł, rzemiosło, gminne spółdzielnie. SOP), kulturalnym (czytelnie, biblioteki, zespoły artystyczne, chóry), oświatowym. Bardzo ciekawym problemem jest stosunek chłopów do ziemi, chłopów do byłego dworu i dawnej administracji. Spośród zagadnień oświatowych zasługują na uwagę: stan organizacyjny szkół, studia młodzieży wiejskiej itp. Warto również zwrócić uwagę na rozwój postępu technicznego. Zagadnienia mogą być przez autorów rozpatrywane wyinknowo lub łącznie, badane w rozwoju czasowym lub też relacjonowane.

BLASKI I CIENIE PROSPERITY PRASY POLSKIEJ

Czytelnictwo prasy w Polsce wykazuje stałą i w zasadzie równomierną tendencję wzrostu w całym kraju. W ostatnim 5-leciu nakłady prasy ogółem zwiększyły się o przeszło 22 procent i wynoszą obecnie 26 586 000 egzemplarzy jednorazowego nakładu. Zwroty z punktów jej sprzedaży spadły w tym czasie o 58 proc. i np. w grupie dzienników wynoszą nie nie znaczący w stosunku do nakładu jeden procent z ulamkiem, a więc mają raczej charakter manipulacyjny, wynikający z przygodnych zaburzeń w kolportażu. Zarówno w grupie czasopism o renomowanej popularności, takich jak „Przyjaciółka” czy „Panorama”, „Kobieta i Życie” czy „Motor” (nie mówiąc już o „Przekroju”) zwroty te wyrażają się znikomym wręcz ułamkiem (0,2—0,6 procenta). W innych grupach czasopism — społeczno-politycznych czy literackich, fachowych bądź młodzieżowych — sytuacja kształtuje się podobnie, tzn. nakłady rosną, a zwroty maleją. Można by więc zaclerać wprost ręce z radości, jak to pięknie rozwija się u nas szlachetna dziedzina usług kulturalnych w postaci słowa drukowanego.

Te miliony egzemplarzy gazet i czasopism, które rozchwytuje obecnie rynek czytelniczy w Polsce, i nie tylko w Polsce, w tym samym bo-

wiem okresie zdublowaliśmy zarówno import prasy zagranicznej, jak i eksport naszej prasy za granicę (charakterystyczny jest tu olbrzymi wzrost zainteresowania naszą publicystyką, szczególnie w obszarze językowym niemieckim), świadczą niewątpliwie, że mimo rozrastającego się „księstwa radiofonii i telewizji” — a więc ośrodków najszybszych i najpopularniejszych form i kanałów przekazu informacji — słowo drukowane w postaci prasy nie lekka się swych „rywali”. Zachowuje konkurencyjną siłę atrakcji i pozostaje niezbędnym społecznie chlebem codziennej wiedzy oraz wzajemnego komunikowania się o sprawach najistotniejszych.

Czyniąc tu jeszcze ułkon w stronę informacyjnej pedanterii można by dodać, że największe prawo do radości miałby ostatnio np. wydawcy i redaktorzy prasy ZSL-u, której nakłady w latach 1961—66 wzrosły w największym stopniu. Np. „Dziennik Ludowy” powiększył w tym czasie nakład z 26,7 tys. egz. do 112,6 tysięcy, a „Zielony Sztandar” z 76 tys. egz. do 139 tys. Podobne powody miałby edytorzy wojewódzkiej prasy partyjnej, której poczynność zwiększyła się o przeszło 50 proc. Popularność organów centralnych, takich jak „Trybuna Ludu”, czy „Chłopska Droga” wzrosła o 34—36 proc.

Te realia i fakty, świadczące o stałym i równomiernym w zasadzie terytorialnie trendzie rozwojowym rynku czytelniczego w Polsce (pomimo jego różnic — historycznie i demograficznie — ukształtowanych warunków w różnych dzielnicach kraju) posiadająby jeszcze większą wartość informacyjną co do stopnia podnoszenia się poziomu i atrakcyjności samej prasy, jak i większą wartość socjologicznego sondażu odnośnie do tego, „co i jak się czyta w Polsce”, gdyby z liczb tych można było odtworzyć stan f a k t y e z n e g o zapotrzebowania na prasę oraz na jej poszczególne tytuły w terenie.

Niestety, takie rozeznanie jest praktycznie niemożliwe. Dlaczego? Nakłady poszczególnych czasopism są — jak wiadomo — limitowane. Wynika to ze znanej nam sytuacji związanej z brakiem papieru, której rzeczywista poprawa nie może nastąpić wcześniej niż w 1975 roku. Słaba baza poligraficzna, uniemożliwia zresztą rozwinięcie pełnej gamy produkcji. Do tego dochodzą trudności w transporcie i kolportażu, które sprawiają, że — zarówno zasób wiadomości, jak i forma ich dopracowania, w postaci tego, co nazywamy „gazetą” — limitowane jest z kolei czasem niezbędnym dla ukończenia druku w porę, aby pismo

Zdarzenia tygodnia

W ubiegłym tygodniu ogłoszono wyniki centralnego przeglądu zespołów tanecznych, regionalnych, kapel i chórów ludowych Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych, który odbył się w dniach 25 i 26 lutego br. w Radomiu.

Jak już informowaliśmy, województwo rzeszowskie reprezentowało 12 zespołów i 1 solista.

Wyniki przedstawiają się następująco (podajemy jedynie zespoły rzeszowskie): wśród zespołów tanecznych III miejsce przypadło mieleckiej WSK, w grupie tańców ludowych regionalny zespół Rafinerii Nafty w Niegłowicach zajął II miejsce, a zespół Klubu Zw. Zaw. Kolejarzy w Rzeszowie otrzymał wyróżnienie. Zespół tańca towarzyskiego rzeszowskiej WSK zajął II miejsce, natomiast Klub Zw. Zaw. Kolejarzy został wyróżniony.

Najlepiej powiodło się kapelowi ludowym. I tak: kapela WSK w Mielcu uzyskała I miejsce, II m. przypadło w udziale zespołowi Fabryki Obuwia Sportowego w Krośnie, a III kapeli Zakładów Tworzyw Sztucznych w Pustkowie. Wyróżniono także Antoniego Kleszczyńskiego z PGR w Bachórze za popularyzującą gry na cymbalach i Tadeusza Czachora z mieleckiej kapeli za wysoki poziom technicznego opanowania instrumentu.

Do Festiwalu Amatorskich Teatrów Poczci, organizowanego przez Związek Teatrów Amatorskich — dla uczczenia 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej zgłosił swój udział 15 zespołów z terenu województwa.

Korzystając z okazji informujemy uczestników, że eliminacje wojewódzkie odbędą się w dniach 22 — 24 kwietnia br.

Wydział Propagandy i Oświaty KW PZPR i WKZZ w Rzeszowie zorganizowały w dniach 5—7 marca kurso-konferencję redaktorów gazet zakładowych i radiowych. Uczestnicy szkolenia wysłu chali „złoty” raport o tematyce zawodowej. Omówiono również takie zagadnienia, jak: zadania prasy i radiowej przed 50 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, problematyka VII Plenum KC PZPR w gazetach zakładowych, sytuacja w światowym ruchu związków zawodowych i zadania przed VI Kongresem Zw. Zaw. Odbyły się również zajęcia praktyczne w Zakładach Granicznych i Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie.

5 marca na Wojewódzkiej Scenie Amatorskiej w Rzeszowie z okazji 60-lecia amatorskiego ruchu artystycznego w Polsce odbył się koncert kapel ludowych regionów Rzeszowszczyzny. Wystąpiły zespoły ZDK Zakładów Tworzyw Sztucznych w Pustkowie, POM w Miejsu Piastowym, PGR w Bachórze, ZSK w Dębicy i Fabryki Obuwia Sportowego w Krośnie. Imprezę zorganizowały ZTA i WDK w Rzeszowie.

Okręgowy Zespół Metodyczno-Prógramowy w Rzeszowie zorganizował w dniach 6—8 marca br. seminarium nauczycieli skrzypiec szkół muzycznych i ogólni. Oprócz spraw metodyczno-programowych omówiono zagadnienia z zakresu form muzycznych.

W placówkach kulturalno-oświatowych woj. rzeszowskiego ekspozycyony będzie zestaw prac dwóch rzeszowskich artystów plastyków Zygmunta Czysta i Józefa Gądy. Na ekspozycję składają się 22 obrazy olejne poświęcone tematycznie oświeceniowi i pejzażowi. Wystawa była ostatnio czynna w Dębicy.

Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kacperek” został zaproszony do wzięcia udziału w Spotkaniu Teatrów, Lalkowych Polski Wschodniej, imprezie organizowanej tym razem w Białymstoku. Rzeszowski zespół zaprezentuje „Stara baśń”, przygotowaną według znanej powieści J. I. Kraszewskiego.

mogło na czas dotrzeć do rąk czytelnika. Dla zilustrowania trudności, wobec jakich stoją wydawcy, redaktorzy i kolporterzy pisma, niech posłużą następujący przykład: zwiększenie nakładu gazety typu „Głos Koszaliński” choćby o 20 000 egzemplarzy rozciągnęłoby proces druku gazety o dwie godziny. Oznacza to z kolei, że jej czas redagowania musiałby również skrócić się o te dwie godziny. To zaś z kolei musiałoby się odbić niekorzystnie na zasobie, świeżości, a więc — wartości dostarczanego w gazecie materiału informacyjnego choćby w postaci depesz „z ostatniej chwili”. Rzecz jasna, że na takim zwiększeniu nakładu (kosztem jakości pisma) ani wydawcom, ani czytelnikom zależeć nie może.

Reasumując te optymistyczne i zarazem nieco gorzkie rozważania nad stanem i rozwojem w Polsce pięknej sztuki czytania, wypada raz jeszcze przypomnieć o wielkim społecznym powodzeniu i zapotrzebowaniu na rzetelną publicystykę i informację w kraju, o zwiększonym zainteresowaniu i zapotrzebowaniu na prasę polską za granicą, której eksport zwiększyliśmy z 600 tys. egz. w roku 1961 do 1178 000 w roku 1966, co niewątpliwie świadczy dobrze o jej poziomie i randze dostarczanych przez nią wiadomości. Ani granic terytorialnych, ani czasowych obecnej prosperity polskiej prasy ustalić obecnie niepodobna.

STEFAN HENEL